POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 29-go listopada 1940r.*** **Rok II. Nr. 38**

CELE WOJNY

KLĘSKA IDEOWA NIEMIEC W WOJNIE ŚWIATOWEJ

Zanim Rzesza cesarska przegrała wojnę światową pod względem wojskowym, przegrała ją pod względem ideowym. Deklaracja prezydenta Wilsona stanowiła dla Rzeszy cesarskiej olbrzymi cios. Prezydent Stanów Zjednoczonych w swoich 14-u historycznych punktach przedstawiał nowy porządek, nową wizję Europy. Prawo samostanowienia narodów stało się zawołaniem, któremu Rzesza nie umiała niczego przeciwstawić.

Zwyciężała, zajmowała, maszerowała ku co raz nowym i nowym zdobyczom i polom walki, a potem —broniła się, gdy stało się jasne, że nie będzie można utrzymać wszelkich zdobyczy i że frontu zachodniego nie da się ruszyć żadną ofensywą. Sukcesy militarne Rzeszy cesarskiej były niewątpliwe, chciało by się powiedzieć nadmierne; jeden z doskonałych oficerów sztabowych Turcji sułtańskiej powiedział z uśmiechem do niemieckiego generała w Stambule: "Panowie zazwyciężacie się na śmierć."

Wyczyny maszyny niemieckiej były godne podziwu: wszędzie, gdzie kruszył się front, gdzie trzeba było podeprzeć linię, zjawiali się Niemcy—czy to było pod Gorlicami czy na froncie włoskim. Jeszcze na wiosnę 1918 na froncie zachodnim ataki niemieckie, prowadzone z niebywałą furią, liczyły na przełamanie linii, jeszcze wtedy Rzesza miała szansę wygrania.

Ale Niemcy były pobite—moralnie, ideowo, były nadwątlone w swojej wierze, nie umiały przeciwstawić nowym i świeżym hasłom i ideom niczego poza krzykiem: "*durchhalten*" — przetrzymać. Było to hasło równie dramatyczne, co ograniczone w swoim zasięgu, niepociągające dla wyobraźni. Nie mogło oczywiście zapalić ludów Europy; nie umiało rozgrzać nawet własnych żołnierzy zmęczonych okopową czterolatką.

Rzesza stała potępiona przez świat, pokonana propagandowo; wystąpiły przeciwko niej wszystkie czołowe państwa świata, zebrało się pospolite ruszenie ludów. Wszystko i wszyscy sprzysięgli się przeciwko Niemcom. Niemcy cesarskie padły pod ciosami idei i propagandy na długo przed zawaleniem się maszyny wojskowej.

Można by powiedzieć ze sporą dozą słuszności, że Rzesza pokonana została o wiele dokładniej ideowo i propagandowo, aniżeli militarnie. Zwycięstwo wojskowe r. 1918 nie zostało dokończone; było połowiczne, lękliwe, a przez to złe. Niemcy wymigały się niesłychanie łatwo od zupełnej klęski, nie zaznały najazdu, okupacji na większą skalę, pohańbienia pokoju zawieranego na własnej ziemi.

Klęska ideowa Niemiec przyćmiła do pewnego stopnia sprawy natury militarnej. Nie dopilnowano drugiego zwycięstwa.

PROPAGANDA—WYNALAZEK ANGIELSKI

Sprzymierzeni w wojnie światowej wykazywali ogromną dozę przedsiębiorczości, pomysłowości i rozmachu. Nie tylko zrozumieli znaczenie lotnictwa, nie tylko rozwinęli produkcję lotniczą do niebywałego poziomu (nie zapominajmy, że w r. 1918 Anglia wytwarzała aż 3.000 maszyn, co jest cyfrą imponującą nawet na dzisiejsze stosunki). Sprzymierzeni wynaleźli czołgi, te same czołgi, które stanowiły największy atut lądowej armii niemieckiej w tej wojnie. Państwa sprzymierzone potrafiły zorganizować wspaniale propagandę.

Propaganda, ten wojenny wynalazek angielski, święciła pod wodzą Lorda Northcliffe i Beaverbrooka niebywałe sukcesy. Hitler przyznał w swoim "*Mein Kampf*," że propaganda angielska była znakomita i że stała się wręcz zabójcza dla Rzeszy cesarskiej. Propaganda brytyjska była pełna pomysłowości, śmiała, dostawała się na wszelkie rynki.

Anglia zrozumiała, że propaganda jest bronią zaczepną pierwszej rangi i że w wojnie jest to składnik nieodzowny, składnik niebywale ważny.

POJĘTNY UCZEŃ

Trzecia Rzesza zrozumiała tajemnice powodzenia angielskiej propagandy. Tak jak za czasów pokoju rozpędziła maszynę wojenną i nastawiła swoję produkcję na obroty, które pojawiają się dopiero w dobie wojny, podobnie i propagandę swoją nastawiła Rzesza już w okresie pokoju na tory wojenne.

Nic więc dziwnego, że z chwilą wybuchu wojny Rzesza była jedynym państwem, które posiadało właściwie zmontowany aparat propagandowy. Na tym polu prześcignąć jej nie było łatwo—co więcej, po dziś dzień propagandy niemieckiej nie zdołano jeszcze zdystansować, pokonać, zahamować skutecznie. Panoszy się ona i szaleje, ponieważ—wyciągnęła dawno wszystkie bez reszty wnioski z poprzedniej wojny, ponieważ zapewniła sobie kanały i przesmyki na cały świat, ponieważ wprawiła w ruch wszelkie możliwe nici i sprężyny.

Maszyna wojenna Rzeszy idzie w parze z propagandą: współdziałanie tych dwóch czynników jest niebywale ścisłe.

NIEMIECKI "ŁAD EUROPEJSKI"

Rzesza hitlerowska wyciągnęła wreszcie z wojny światowej wniosek, że trzeba wojnę czymś umotywować, że trzeba wywiesić wielkie hasła, że trzeba zaskoczyć świat czymś nowym, zafascynować jakimś pomysłem. Dlatego Niemcy ogłaszają—na razie na drogach niejako nieurzędowych, przygotowawczych—"nowy ład europejski."

Plan ten jest bezładny, nie posiada określonych linii, ani wytycznych. Ale operuje się nim zawzięcie w przekonaniu, że w ten sposób zajmuje się wyłącznie pewne pole i że przyzwyczaja się świat do myślenia pewnymi pojęciami.

Rzesza chce oswoić świat z porządkiem europejskim własnego wyrobu.

KONIECZNOŚĆ ODPOWIEDZI

W. Brytania musi odpowiedzieć na te wszystkie sukcesy niemieckie, musi jak najszybciej zorganizować przeciwuderzenie ideowe i propagandowe. Zaniedbania w tej dziedzinie są ogromne, krótkowzroczności karygodne, lekkomyślność nieraz zdumiewająca.

Wynalazek brytyjski—propaganda, nie został wykorzystany w tej wojnie ani w części tak, jak w pożarze 1914-1918. Popełniono na tym polu błędy wielkie, błędy, którymi można by zapisać niejedną skórę wołową. Propaganda sprzymierzonych zawiodła zarówno na rynku wewnętrznym: jako to, co organizuje tzw. front wewnętrzny, co budzi zaciekawienie wojną, jak i na rynku zewnętrznym: jako opanowanie terenów zagranicznych. Propaganda ta odznaczała się lękliwością, brakiem rozmachu, wyobraźni, umiejętności zróżniczkowania terenów i tematów.

Na polu wielkich programów również popełniono wielkie pomyłki. T.zw. cele wojny, które dyskutowano w krajach sprzymierzonych w czasie miesięcy lenistwa "*Sitzkriegu*" stawiane były bez przekonania, bez wielkiego gestu. Toteż w dużej mierze owe "*war aims*" (cele wojenne) trzeba poddać rewizji, przetrzebić, odnowić. W formie tej, w jakiej podawano je rok temu, nie nadają się one zupełnie do rzucenia w świat.

CO PRZECIWSTAWIMY NIEMIECKIEJ "NEUORDNUNG"?

Określenie przez W. Brytanię celów wojny, ram i obrazu Europy powojennej, wydaje się pilną koniecznością. Nie można zasłaniać się tym, że w danej chwili walczymy, że operacje wojenne rozwijają się i że nie czas na mówienie o rzeczach zbyt odległych. Broń ideowa jest równie ważna, jak samoloty i czołgi. Propaganda winna wspomagać uderzania bombowców. Inaczej będziemy stale bici przez bardziej zręcznego i rozgarniętego przeciwnika.

Nie możemy poprzestać na powtarzaniu, że celem wojny jest wyrównanie krzywd, wyrządzonych przez Rzeszę, powrót do starych norm i ładu. Przeciwnie, musimy podkreślać, że pragniemy nowego trwalszego ładu. Dawny porządek nie wróci, albowiem nie wraca nic w dziejach w tej samej formie. Musimy zdobyć się na wysiłek myśli, równie wielki, jak wysiłek wojennej produkcji.

Muszą paść wielkie hasła polityczne i gospodarcze. Muszą paść wielkie słowa i zawołania. Musi się stworzyć kadry ludzi, którzy uwierzą w ten nowy ład europejski innego stylu. Albowiem ludzkość nie może żyć bez wiary i bez nadziei. Sprowadzanie wszystkiego do ram materialnych, do przesłanek gospodarczych jest fatalnym krótkowidztwem. Błędem t.zw. demokracji było właśnie to, że zawiele przywiązywała wagi do haseł pomyślności materialnej, jak i do znaczenia czynników ekonomicznych w pokoju i wojnie. Nie wystarczą zapasy i zasoby, trzeba mieć wolę ich wykorzystania. Praca ludzka jest olbrzymim bogactwem; wola i pomysłowość ważniejsza od podkładu złota.

Nie możemy pozwolić na to, ażeby "Neuordnung" hitlerowska była jedynym szermierzem na placu.

POCZĄTEK ZROBIONY

Deklaracja angielsko-francuska o zespoleniu zasobów obu Imperiów, zawisła niestety w próżni. Oferta angielska połączenia obu Imperiów przyszła, dzisiaj to widzimy jasno, stanowczo za późno. Powinna była zostać ogłoszona zaraz na wstępie wojny.

Dlatego na tle tych zawodów *z radością powitać należy oświadczenia polsko-czeskie z dnia* 11 *listopada w sprawie ścisłej współpracy obu państw w dobie tej wojny i po wojnie.* Oczywiście, nie brak ludzi, którzy z melancholią stwierdzą, że oświadczenie to jest spóźnione co najmniej o dwa lata, jeżeli nie trzy czy cztery, ale—nie będą mieli w pełni słuszności. Nie możemy ulegać fatalizmowi w polityce. *Deklaracja polsko-czeska jest tym przebłyskiem zdrowego sądu i instynktu, którego zabrakło w Europie przedwojennej.*

Deklaracja ta stać się powinna osią krystalizacyjną dla innych podobnych poczynań. Powinna pobudzić myśli naszych publicystów do wysuwania planów "nowej Europy." Pisarze polscy i czescy powinni wystąpić z własnymi ideami na ten temat.

Cenny jest tu każdy wkład, każdy błysk myśli. Rzesza musi być pokonana ideowo. O tym zapominać nie można ani na chwilę. Nie można wymawiać się tutaj brakiem czasu z powodu—zajęć wojennych. Skoro Rzesza ma czas na propagandę i na rozgłaszanie na wszystkie strony świata swojego "nowego ładu," musimy i my znaleść czas na postawienie na nogi propagandy śmiałej, sprawnej, pełnej pomysłów, musimy sparować ciosy niemieckiej "Neuordnung" własnym planem, któryby zapalił myśli, stworzył wiarę, pobudził nadzieje.

Bez ujęcia tych sił nie może być mowy o wygraniu wojny istotnie, gruntownie, celowo. Wygranie wojny istotne, celowe, gruntowne—to wygranie pokoju. O nim musimy myśleć już dzisiaj. Inaczej zaskoczy nas tak, jak zaskoczył po czterech latach wojny—Europę w r. 1918, Europę ogarniętą przemożną chęcią powrotu do domu, zanim dom ten został urządzony.

Londyn, 12 listopada 1940.

Zbigniew Grabowski

ROK TEMU

Równo rok temu, dnia 29 listopada, w powstaniową rocznicę, pojawił się na terenie obozu w Coëtquidan—pierwszego obozu, w którym zaczęła się tworzyć i wzrastać nowa armia polska—pierwszy numer "Polski Walczącej." Wyprzedziły ją tylko dwa numery gazetki ściennej: "Pobudka z 7-ej kompanii" (później 3-ej C.K.M.) pierwszej Szkoły Podchorążych. "Pobudka" ukazywała się w trzech czy czterech egzemplarzach maszynopisowych i była ręcznie zdobiona przez malarzy w mundurach. "Polska Walcząca" ukazała się w ilości tysiąca pięciuset egzemplarzy i zewnętrznie nie wiele różniła się od tego pisma, które wiernie przychodzi do Was co tydzień. Tylko podtytuł brzmiał inaczej—"Tygodnik gromady żołnierskiej."

Pierwszy numer, który dziś obchodzi swoją rocznicę zawierał faksimile Naczelnego Wodza, faksimile generała Stanisława Maczka, ówczesnego dowódcy wojsk w obozie—prorocze w zapowiedzi krwawienia się na ziemi francuskiej — artykuł wstępny pułkownika Januarego Grzędzińskiego, pierwszego komendanta obozu, oraz prace następujących autorów: pułkownika Conte'a, dyrektora kursu oficerskiego, Stanisława Boleszczyca (Paprockiego), Aleksandra Janty, Czesława Poznańskiego, Jana Rembielińskiego, Tymona Terleckiego, Kazimierza Wierzyńskiego i prace następujących malarzy: Zygmunta Haupta, Mariana Walentynowicza, Aleksandra Żywa.

Pismo narodzone z pragnień i spodziewań, jakie ożywiały to pierwsze, szczupłe jeszcze skupisko żołnierskie połączyło od razu wysiłek żołnierzy ze współdziałaniem emigracji cywilnej. Ramy tej współpracy rozszerzyły się później, obejmując nie tylko emigrację nową, wojenną, ale o wiele liczniejszą, dawną emigrację zarobkową. Pamiątką po tym współdziałaniu jest obecny podtytuł pisma: "Żołnierz Polski na obczyźnie," który zluzował poprzedni, po złączeniu obozowego tygodnika żołnierskiego z pismem, wydawanym dla żołnierzy przez centralną organizację wychodźczą—z "Żołnierzem Polskim w Francji."

W tej nowej postaci była "Polska Walcząca" już nie organem jednego—pierwszego—obozu, ale wszystkich rozmnożonych w międzyczasie ośrodków tworzenia polskiej siły zbrojnej, centralnym pismem wojskowym, ale nadto, i niespodziewanie jednym z pism, czytanych przez emigrację od lat osiadłą we Francji. Ostatni jej nakład osiągnął cyfrę siedemnastu tysięcy egzemplarzy.

Wątek zerwany przez katastrofę Francji został nawiązany na ziemi angielskiej najszybciej, jak było można. Utraciwszy chwilowo oparcie o wychodźstwo we Francji, którego prężności, wierności, ofiarności nie zapomni nikt, kto ich dotknął—patrzymy teraz przez ocean w drugie wielkie, choć odległe skupienie polskie w Stanach. Liczne przedruki w prasie amerykańskiej świadczą, że przez tę oceaniczną odległość podtrzymują nas bratnie ręce, słyszą nas serca bijące tym samym pulsem.

Mija dziś rok od chwili, gdy pierwsze egzemplarze tego pisma szeleściły w barakach żołnierskich, gdy nazwa wypisana w jego nagłówku zyskiwała milczące, wzruszone uznanie, że wyraża wolę, przeznaczenie, nieugaszone pragnienie nas wszystkich. Rok jest za nami, w rękach Boga miara tego co przed nami. Na takiej granicy wolno się zatrzymać tylko chwilę, poto aby objąć wdzięczną pamięcią wszystkich, którzy dali nam pomoc, okazali życzliwość, docenili ważność tej skromnej pracy. Poto jeszcze, by objąć bratnim uściskiem tych wszystkich,—czy są z nami jeszcze, czy ich już nie ma—którzy w tym piśmie szukali wyrazu dla swoich uczuć, wiedzy o sprawie wspólnej, hasła i imienia dla siebie najpełniejszego, jedynie ścisłego, jedynie ważnego, aż do godziny końca walki, aż do godziny zwycięstwa.

To imię i hasło: Polska Walcząca—jest ważne na rok drugi.

Tymon Terlecki

Blok polsko-czechosłowacki

Cieszyć się należy, iż doszło już do zawarcia związku i ustalenia współpracy między rządami Polski i Czechosłowacji. Oba odrodzone państwa słowiańskie, Polska i Czechosłowacja, przy zgodnej, prawdziwej, rzetelnej i ścisłej współpracy potrafią utworzyć zwarty, silny blok słowiański, który stanie tamą przeciw naporowi germańskiemu na ich ziemie, położy kres niemieckiemu "Drang nach Osten," nie dopuści do zagrażania niepodległości jednego i drugiego państwa.

Wszak w przeszłości dziejowej były nie tylko próby, lecz także dokonane fakty takiego łączenia się tych dwuch państw dla współpracy w dziedzinie politycznej. Już na progu swych dziejów historycznych Polska i Czechy są ze sobą złączone przyjaźnią przez małżeństwo pierwszego władcy historycznego Polski, Mieszka z Dobrawką czeską. Krew słowiańska, pokrewieństwo języka i pośrednictwo Czech w przyjęciu wiary chrześcijańskiej przez Polskę i jej księcia, wiążą oba państwa.

Syn Mieszka i Dobrawki, Bolesław Chrobry, zaczął tworzyć jedno, wielkie państwo zachodnio-słowiańskie (z Polski, Czech i Słowian nadłabskich składać się mające), które niestety—z winy książąt czeskich trwało tylko jeden rok. Na przełomie XIII-go na XIV-y w. część ziem polskich (południowych) i Czechy pozostawały pod rządami Wacławów, dwóch ostatnich królów czeskich z dynastii Przemyślidów. Gdy tron czeski objęła rodzina Luksemburgów, a więc dom panujący niesłowiański, wtedy jej przedstawiciele, prowadzący politykę antypolską, uświadomili narodowi czeskiemu grożące mu niebezpieczeństwo i konieczność połączenia się z Polską. To też za Władysława Jagiełły Czechy dążyły do związku z Polską, naród czeski powstał przeciw Zygmuntowi Luksemburczykowi i w r. 1420 ofiarował koronę czeską Jagielle, szukając ocalenia pod berłem pogromcy niemieckiego Zakonu.

W 17 lat później, po śmierci Zygmunta Luksemburczyka (na którym wymarła w r. 1437 dynastia Luksemburgów), stronnictwo narodowe w Czechach znowu ofiarowało koronę św. Wacława młodszemu bratu króla polskiego, Kazimierzowi Jagiellończykowi. Król ten nie wyrzekł się pretensji do tronu czeskiego. Wszedł w porozumienie z królem czeskim, Jerzym z Podiebradu, który uznał następcą swoim Władysława Jagiellończyka, najstarszego syna Kazimierza Jagiellończyka. Po śmierci Jerzego w r. 1471, Władysław Jagiellończyk wstąpił na tron czeski i zasiadał na nim do r. 1516, a następnie objął go po nim syn jego Ludwik, dzierżąc berło św. Wacława przez lat 10 (do swej śmierci w bitwie pod Mohaczem w r. 1526).

Utrata niepodległości politycznej Czech w r. 1620 spowodowała z czasem utratę niepodległości Polski w r. 1795. Tego samego faktu świadkami jesteśmy w dobie obecnej. W prawdzie od roku 1919 oba państwa, do nowego niezależnego bytu politycznego powstałe po wojnie światowej popełniły wiele błędów, ale popełniły je ich rządy, a nie narody same; które zaś z nich więcej zawiniło, iż do wzajemnej współpracy polsko-czeskiej nie doszło, to pozostawić należy osądowi historii. W każdym razie panslawizm musi być pogrzebany, gdyż jest on pojęciem rosyjskiego imperializmu. Nie oznacza on nic innego, jak tylko panrusyczym, a narody polski i czeski nie mają zamiaru utonąć w morzu rosyjskim.

Nowa Polska i nowa Czechosłowacja, tak srogo doświadczone w obecnej wojne, utworzywszy wspólny blok obronny dla własnego dobra i dobra swych sąsiadów, a także dla dobra swych pobratymców bałkańskich, pamiętać również będą przy stole konferencji pokojowej o słowiańskiej ziemi serbo-łużyckiej.

Własny, dobrze zrozumiany, interes wymaga ścisłego współżycia obu narodów, polskiego i czeskiego. Musi stanąć mur słowiański przeciw hydrze teutońskiej. Niewolno dopuszczać do kurczenia się Słowiańszczyzny na Zachodzie. Oba państwa będą również nawzajem uzupełniać się gospodarczo, gdyż mają wszystkie ku temu warunki. Granicę między nimi stanowić będzie linia etniczna już faktycznie uzgodniona.

W połączeniu i ścisłej, prawdziwej współpracy tak politycznej, jak i gospodarczej oraz kulturalnej będą mogły Polska i Czechosłowacja nie tylko rozwijać się w spokoju, lecz także odegrać właściwą rolę w świecie słowiańskim, do którego jeszcze w historii przyszłość należy.

Nie tylko więc wspomnienia historyczne, lecz przede wszystkim obopólny interes, to [illegible] wspólna obrona przed odwiecznym wrogiem obu narodów nakazują im wspólną drogę. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje.

Obóz Polski, w listopadzie 1940 r.

Franciszek Lenczowski

"Obłudzie Hitlera, nie zbyt dawno twórcy frontu przeciw-kominternowskiego, teraz apostoła przyjaźni i współpracy nazistowsko-sowieckiej,—obłudzie Hitlera, która zapowiada obdarzenie Europy tzw. nowym, jakoby zbawiennym porządkiem politycznym i gospodarczym, a w rzeczywistości z cynizmem z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc morduje naród polski i dławi inne narody, utrzymując je w niewoli i upokorzeniu,—obłudzie tej przeciwstawia Rząd Polski wraz z Prowizorycznym Rządem Czeskosłowackim w Londynie program organizacji Europy środkowej na podstawie zgodnej współpracy niepodległych i równych narodów i państw, złączonych dobrowolnie w związku państwowym. Wspólne w tej sprawie oświadczenie obu rządów, piętnujące zarazem perfidię Berlina i potworne zbrodnie, dokonywane przezeń w naszych krajach, odbiło się bardzo silnym echem zarówno w Europie, jak w Ameryce.

W imię powyższego programu, pod hasłem Europy, wyzwolonej z jarzma tyranów, idziemy w walce z Niemcami bezwzględnie i nieugięcie, świadomi, że tego wymaga dobro Polski, że tego od nas żąda zgodna wola kraju. Bohaterskie, sławne już czyny polskich eskadr lotniczych, brawura naszej marynarki wojennej, postawa wojska polskiego, którego pierwszy korpus objął świeżo w Szkocji ważki odcinek obrony kraju, są w najwznioślejszej płaszczyźnie czynu zbrojnego wyrazem dążeń i celów rządu polskiego.

Niemcy muszą być pokonane. Polska musi znów powstać wolna od wrogów i wielka, z należytym oparciem o morze. Oto zadanie, które wyczerpuje wszystkie myśli i dążenia rządu polskiego."

Z przemówienia ministra Mariana Seydy przez radio brytyjskie.

Na froncie dyplomatycznym

ZAGĘSZCZONY KALENDARZYK

Oto kalendarz wizyt dyplomatycznych i dyplomatycznej działalności osi za czas ostatni.

27 września podpisanie w Berlinie nowego trójprzymierza: Niemcy, Włochy, Japonia. 4 października spotkanie Mussolini-Hitler na Brennerze. 22 października spotkanie Hitler-Laval w Paryżu. 23 października spotkanie Hitler-Franco w San Sebastian. 24 października spotkanie Hitler-Pétain w Montoire. 4 listopada spotkanie Ciano-Ribbentrop na polowaniu w Czechach. 12 listopada wizyta Mołotowa w Berlinie. 15 listopada rozmowy sztabowe niemiecko-włoskie w Innsbrucku. 17 listopada rozmowa Antonescu-Ciano-Mussolini w Rzymie, król Borys-Hitler w Berchtesgaden, Serrano Suner-Laval w Paryżu. 18 listopada rozmowa Serrano Suner-Ciano - Hitler - Ribbentrop w Berchtesgaden. 20 listopada spotkanie Hitler-Ciano-Teleki w Wiedniu, przystąpienie Węgier do trójprzymierza. 23 listopada wizyta jenerała Antonescu w Berlinie. Dodajmy do tego, że król Leopold belgijski albo już został przyjęty przez Hitlera w Berchtesgaden, albo lada dzień ma być przyjęty i że jest mowa o wspólnej konferencji (na zaproszenie Niemiec) kierowniczych mężów stanu Węgier, Rumunii, Bułgarii i Jugosławii a będziemy mieli obraz wprost gorączkowej działalności dyplomatycznej.

OD WIARY WE WŁASNĄ WSZECHMOC DO SZUKANIA POMOCY U INNYCH

Cóż to oznacza? Przede wszystkim oznacza to niewątpliwie, że zwycięski opór Wielkiej Brytanii pokrzyżował plany hitlerowskie. Nie ulega wątpliwości, że Hitler, który początkowo dla zabezpieczenia sobie tyłów musiał udać się o pomoc do Moskwy i za pomoc tę zapłacić wycofaniem się Niemiec z nad brzegów Bałtyku-chciał zwyciężyć sam, ażeby się z nikim nie dzielić owocami zwycięstwa i z niczyimi interesami się nie liczyć. Przypomnijmy sobie, jak to dumnie w pierwszym roku wojny i Hitler i Ribbentrop oświadczali, że Włochy nie weszły do wojny jedynie dlatego, że Hitler sobie ich udziału nie życzył.

Oświadczenia te wyraźnie zupełnie wskazywały na to, że podług obliczeń niemieckich Niemcy same sobie potrafią dać radę.

Mussoliniemu pozwolono uderzyć na Francję dopiero w momencie, gdy opór francuski i tak już był złamany. Udział jego w wojnie ograniczył się do zbombardowania bezbronnej Mentony. Cokolwiek by Mussolini dostał z Francji—a wtedy jeszcze Hitler, dufny w szybkie zwycięstwo nad Anglią lub też w możność pokoju z Anglią nie dbał zgoła o reakcję francuską,—byłby dostał jako napiwek od prawdziwego zwycięzcy.

A dzisiaj? Dzisiaj Hitler szuka na gwałt sprzymierzeńców, by utworzyć koalicję anty-angielską, dzisiaj Hitler chce zmobilizować całą Europę i Azję przeciw Anglii, by za wszelką cenę zwyciężyć.

WYRZECZENIE SIĘ AMBICYJ NA DALEKIM WSCHODZIE

Trójprzymierze z Japonią oznacza likwidację nadziei hitlerowskich na jakikolwiek udział w francuskich, czy holenderskich koloniach w Azji, oznacza koniec ambicji niemieckich na Dalekim Wschodzie. Wzamian za szachowanie Anglii i Ameryki Hitler oddał rozporządzanie Azją Japończykom. O pertraktacjach z Mołotowem pisaliśmy w zeszłym tygodniu.

Teraz po ataku Mussoliniego na Grecję idzie o zmobilizowanie wschodniej i zachodniej Europy do ataku ze wszystkich stron. Zadanie bynajmniej nie jest łatwe, albowiem interesy tych przyszłych sprzymierzeńców zbyt są sprzeczne.

TRUDNOŚCI W PRZEKUPIENIU HISZPANII

Zwróćmy się przede wszystkim na Zachód. Hitler chce uzyskać możliwość uderzenia na Gibraltar od lądu—to jest chce wejścia Hiszpanii do wojny. Jednocześnie chce i musi móc dysponować flotą francuską i lotnictwem francuskim. Tymczasem Gibraltar sam dla Hiszpanii nie jest dość ponętny. Imperializm hiszpańskich falangistów uważa, że Hiszpanii należy się przede wszystkiem całe Marokko, a nawet i prowincja Oranu w Algierze. A są i tacy którzy uznają, że i francuska Katalonia z Perpignan i kraj Basków francuskich z Bayonne i Biarritz słusznie należą się Hiszpanii.

Uwzględnienie tych żądań hiszpańskich jednak uniemożliwia porozumienie z Francją i współdziałanie francuskie. Laval przez swoją prasę ciągle tłumaczy narodowi francuskiemu, że przyjaźń z Niemcami jest jedynym sposobem uratowania względnej całości terytorium Francji i zachowania znacznej większości Imperium francuskiego. I to nawet nie chwyta. Dzisiaj zdaje się już większość Francuzów przeciwna jest tej polityce. Ale są jeszcze dość liczne elementy, które istotnie wierzą po dziś dzień, że porozumienie z Niemcami pozwoli na zawarcie niezbyt kosztownego pokoju. Uwzględnienie żądań hiszpańskich przez Hitlera otworzyło by już oczy wszystkim.

Z NAPIWKIEM DLA MUSSOLINIEGO TEŻ NIEŁATWO

Tak samo niełatwa jest sprawa francusko-włoska. Mussolini co prawda nie określił jasno w ostatniej mowie swych żądań co do Francji. I prasa włoska, która początkowo bardzo brutalnie tłumaczyła Francuzom, że przyjście Pétaina do rządu absolutnie nie zmienia faktu, że pobita Francja będzie musiała zapłacić ciężki rachunek— ostatnio nałożyła tłumik. Nie ulega jednak wątpliwości, że te "słuszne" włoskie żądania, o których mówił Mussolini obejmują wiele więcej, aniżeli żołądek francuski mógłby strawić.

A Hitler musi się teraz liczyć z młodszym partnerem osi. Prawda, że Mussolini oświadczył, iż to na jego prośbę Hitler pozwolił na udział lotnictwa włoskiego w atakach na Londyn, ale to nie zmienia faktu, że widocznie te włoskie aeroplany są Hitlerowi potrzebne.

Prawda, że włoscy żołnierze uciekają z Grecji, tak jak uciekali pod Guadalajarą, ale tym nie mniej te włoskie wojska i w Grecji i w Libii są potrzebne.

Nie można więc ze stuprocentową pewnością twierdzić, że Hitlerowi uda się czy to sztuką dyplomatyczną, czy to rozkazem te przeciwieństwa między "sprzymierzeńcami" wyrównać i stworzyć blok zachodnio-europejski. W każdym razie te usiłowania są niezwykle charakterystyczne.

POZORNE SUKCESY I PUNKTY NIEWIADOME BLOKU NA WSCHODZIE

Na Wschodzie podpisanie przymierza przez Węgry [illegible] pozornym sukcesem. Pozornym, albowiem po pierwsze Węgry i tak już były pod zupełnym wpływem Niemiec, o czym świadczy przepuszczenie wojsk niemieckich do Rumunii, po drugie włączenie Węgier, jako równego partnera do trójprzymierza cokolwiek się kłóci z nauką hitlerowską o narodach władczych i narodach drugorzędnych.

Hrabia Csaky bardzo z tego traktatu jest dumny. Oświadczył on, że oznacza on oddanie w ręce Węgier kierownictwa Europą południowo-wschodnią. Węgry, jako nowy partner czwórprzymierza widocznie już się uważają za wielkie mocarstwo. Trochę za prędko.

Do przymierza "przystąpiła" też (bo jej kazano) Słowacja, a z jej patentem na mocarstwowość jest jeszcze gorzej. Bułgaria podobno odmówiła przystąpienia do paktu. W każdym razie przystąpienie Węgier jest niewątpliwym zaszachowaniem Jugosławii. Tylko niewiadomo, jaka będzie reakcja jugosłowiańska. Przykład Rumunii zbyt jest odstraszający, przykład Grecji zbyt zachęcający, by Białogród nie miał się nad czym zastanowić.

I blok wschodnio-europejski jest więc jeszcze pod znakiem zapytania.

MUZYKA PRZYSZŁOŚCI

Kontynent europejski, jako całość w wojnie z Wielką Brytanią pod wodzą Hitlera jest jeszcze muzyką przyszłości. I na razie jedynym stwierdzeniem dodatnim pozostaje to, któreśmy uczynili na wstępie. Hitler na gwałt stara się zorganizować całą Europę, bo czuje, że siły osi same nie podołają.

XXX

Tradycja — broń jazdy polskiej

Spotyka mnie wielki zaszczyt mówienia o naszej kawalerii. Artykułu mojego nie podnoszę do rzędu studium tego tematu, na to będzie jeszcze czas. Chcę w nim w słowach najprostszych wypowiedzieć moją głęboką miłość dla tej broni oraz podzielić się spostrzeżeniami na ten tak drogi dla mnie temat, opierając się tylko na konkretnych przykładach i twierdzeniach.

TRADYCJA JEŹDZIECKA—JEJ POCZĄTKI I ROLA

Mówiąc o kawalerii, należy uchylić czoła przed jej "tradycją," o którą od wieków oparta, zawsze chlubnie spełniała swoją rolę. To też zdać należy sobie na wstępie sprawę, że "tradycja" zawsze była i jest główną bronią naszej jazdy. Spróbuję to uzasadnić.

Mówiąc o "tradycji," sięgnąć trzeba do historii jazdy, by dociec, od kiedy w tę broń została ona uzbrojona. Otóż twierdzę, że w broń tę uzbroiła się ona czasów wojów Mieszka i od tej chwili nigdy jej nie zdradziła i nie zdradzi. Odwrotnie, stale ją wzbogacała co raz to nowymi przykładami ze wszystkich wojen, jakie prowadził nasz kraj, w których jazda święciła triumfy i zdobywała sławę na cały świat.

"TRYLOGIA"—EWANGELIA JAZDY POLSKIEJ

Od rozbiorów Polski, w martwocie niewoli przygłuchły tradycje kawalerii i dopiero Henryk Sienkiewicz wlał w nią tętno życia krasą swego słowa, rozpalając miłość do niej u wszystkich Polaków. Toteż dopóki istnieje na świecie "Trylogia"—kult dla jazdy nigdy nie zaginie. Mało tego—Trylogia staje się jakby regulaminem dla naszych przyszłych kawalerzystów w wojnie, która niebawem ma się rozegrać. Dzieło to rozeszło się po całym świecie i niejeden Polak zawdzięcza mu nastawienie swego życia.

Przykłady:

Znam oficera, którego życie w zaraniu młodości zapędziło na Daleki Wschód i tam przez sześć lat prawie nie miał możności władania ojczystym językiem. Tam przeczytał po rosyjsku po raz pierwszy "Krestonoscy" Genrycha Sienkiewicza i słowa tej książki, aczkolwiek brzmiące po rosyjsku, stały mu się drogowskazem na całe życie.

Znam oficera rosyjskiego, Polaka kompletnie zruszczonego który po przeczytaniu "Trylogii," również po rosyjsku, ze łzami w oczach twierdził, że wszystko by oddał, by mógł służyć w wojsku polskim.

Czytałem list, już obecnie, skierowany do Budapesztu z Warszawy, w którym żona pisze do męża, że czyta z dziećmi Sienkiewicza i w tym jednym czerpie pociechę oraz pomoc w przeżywaniu ciężkich czasów.

W wojnie poprzedniej (1914-18) dwaj spieszeni dragoni francuscy 6-go pułku—znakomity pisarz Georges Bernanos, autor "Au Soleil de Satan" (W słońcu szatana") i Max hr. de Colleville mieli z sobą w okopach jedynie Pismo Święte i—"Trylogię."

Nie mogę się powstrzymać od dygresji, by na tym miejscu nie zaznaczyć, że tak niedawno jeszcze, już w wolnej Polsce byli zbrodniarze, którzy Henryka Sienkiewicza wykluczyli z lektury dla młodzieży. Z całą stanowczością przekonania twierdzę, że Sienkiewicz był największym krzewicielem rycerskich tradycji kawalerii i że obecna nasza jazda, wychowana na tych tradycjach, zachowała kult rycerskości oraz zrozumienia konieczności spełniania swego obowiązku—zawsze i wszędzie.

Przyjrzyjmy się choćby pobieżnie, dziejom tej kawalerii opartej o "tradycje" w ciągu ostatnich lat jej istnienia.

ROK 1914-15

Ułani Beliny. Piękny oddział jazdy rozpoczyna swe istnienie od paru ludzi zaledwie i w błyskawicznym tempie rozwija się w pułk. Rycerskość i bitność tego pułku, w którego szeregach rozpoczyna swą służbę wielu przyszłych doskonałych dowódców jazdy, jest taka, że gotów on skoczyć do oczu samemu diabłu.

Drugi pułk ułanów (Szwoleżerowie Rokitniańscy). Piękny pułk w ten sam sposób powstały, co i pierwszy. Pod Rokitną dziedziczy sławę ułanów z pod Somosierry.

Prawie jednocześnie z nimi powstaje dyon ułanów w legionach Gorczyńskiego, który niebawem przeradza się we wspaniały pułk ułanów Krechowieckich. Nazwę tę otrzymuje w szarży pod Krechowcami, której by się nie powstydził żaden z bohaterów "Trylogii."

ROK 1914-21

W dalekim Bobrujsku w korpusie generała Dowbora powstaje pułk 3 ułanów. Jego szwadron czwarty w roku 1918 dokonuje historycznego marszu z Odessy do Bobrujska (około 1500 klm.) w 45 dniach przy kilkunastu potyczczkach i bojach samotnie przebija się poprzez morze bolszewików. Jest to czyn, jakich jest mało w historii kawalerii świata, a którego wzory można znaleść w "Trylogii."

Z dalekich Antonin do Bobrujska przychodzi 2 pułk ułanów Grochowskich.

W korpusie drugim w piorunującym tempie tworzą się pułki 5 i 6 ułanów, a w trzecim—siódmy. Na nic się nie zdały rozbrojenia i inne klęski tych przepięknych pułków. Rosły one z powrotem natychmiast po zniszczeniu, toteż niebawem po rozbrojeniu I i II korpusu na dalekim Kubaniu w stanicy Paszkowskiej pod Ekaterynodarem powstaje pułk ułanów—późniejszy 14-ty Jazłowiecki, a tworzą go na czele z majorem Plisowskim, oficerowie pułku pierwszego i trzeciego przy pomocy Polaków-kawalerzystów ze wszystkich stron Rosji dążących na Kubań. Rozrasta się on niepomiernie szybko i po przybyciu morzem do Odessy, wyłania z siebie 6-ty pułk ułanów, przyszły Kaniowski.

W dalekiej Francji, w formującej się armii Generała Hallera, powstają dywizjony szwoleżerów, z których po przybyciu do Polski formuje się 1,2 i 6-ty pułk strzelców konnych, a po rozbrojeniu Niemców, wszystkie razem zbierają się w kraju i w krótkim czasie powstaje piękna jazda w sile dwuch pułków szwoleżerskich, osiemnastu ułańskich i sześciu strzelców konnych.

Wszystkie te pułki są harde, buńczuczne, dzielne i przez wszystkich uwielbiane. I gdzie się tylko ukazały, leciał za nimi szept od siwego pana do młodej dziewczyny: "Jacy piękni, jacy śliczni, zupełnie jak z Trylogii."

ROK "CUDU NAD WISŁĄ"

W tym składzie zastaje jazdę polską rok 1920. Nie zawiodła ona ani Narodu, ani dowódcy.

Trocki rzuca hasło "Proletarii po koniam." Sowiecka armia czerni się od mas kawalerii. W ataku na Polskę, piechota nasza nie wytrzymuje natarcia i rozpoczyna swój słynny odwrót na Wisłę. Chmary jazdy bolszewickiej depczą jej po piętach i zadają wielkie straty. Korpus Gaj-Chana dociera do Włocławka i nawet przechodzi Wisłę. Armia Budiennego podchodzi pod Lwów.

Dowództwo polskie rozumie, że jazdę powstrzymać może tylko jazda. Dosłownie w kilka dni powstają nowe ochotnicze pułki: 201 szwoleżerów, 203, 108, 115, 211 i 214 pułki ułanów. W słynnym uderzeniu Marsz. Piłsudskiego z nad Wieprza, jazdą polska przechodzi do natarcia. Rozpoczyna się gwałtowny odwrót bolszewików. Aczkolwiek słabsza liczebnie, jazda polska bierze odwet na zwycięskim dotąd przeciwniku i bije go wszędzie, gdzie tylko spotka. Rycerze z "Trylogii" mogą być dumni ze swoich spadkobierców. Tym samym szlakiem i tymi samymi sposobami pędzone były chmary kozactwa w głąb Rosji.

Wojna się skończyła. Tradycja i dorobek chwały bojowej jazdy polskiej zostaje powiększony w sposób znakomity.

PRZED OSTATNIĄ WOJNĄ

Okres życia pokojowego trwa od 1921 po 1939 rok. Smutny to okres życia naszej jazdy. "Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść." Powoli narasta i urabia się opinia, że kawaleria jest zbędna. Jej siostrzyca piechota, zazdrosna o wszystko, co dotyczy jazdy, stara sie wszędzie i zawsze uszczuplić jej znaczenie. "Tradycje" nazywa głupim fasonem, nie może zrozumieć i docenić miłości do pułku, irytują ją nasze proporczyki, nasze zwyczaje, nasze barwy. Ba, nie tylko piechota, ale nawet rodzimi dowódcy kawalerzyści powoli stwarzają z wielu wielkich jednostek i pułków coś w rodzaju folwarków, gdzie w szerokim stopniu rozpowszechnione jest hasło: "Co kraj, to obyczaj."

Inspektora kawalerii nie było, a tym samym nie było opiekuna i opieki. Department Kawalerii spełniał rolę podrzędną. Cierpi na tym bardzo:

organizacja jazdy,

jej uzbrojenie.

Nie zanadto pomaga również i Alma Mater jazdy polskiej—Szkoła Kawalerii w Grudziądzu.

Daleki jestem od krytykowania kogokolwiek bądź. W imię prawdy mówię tylko te przykre dla nas, kawalerzystów, słowa, ale tak było.

A jednak jazda nasza wyróżnia się wśród całej armii: wyglądem zewnętrznym, wyszkoleniem, wychowaniem, koleżeństwem, dyscypliną. Twierdzę, że gdyby była we właściwy sposób kierowana, stałaby się bliska doskonałości.

Wyrasta pytanie, cóż jednak było przyczyną, że kawaleria stała wyżej i lepiej od innych? Odpowiedź zawsze ta sama: "tradycja." Tradycja rycerzy "Trylogii": ona, nic innego, była, jest i będzie drogowskazem dla nas, kawalerzystów.

CO TO JEST "TRADYCJA JEŹDZIECKA"?

Z kolei wyłania się pytanie: cóż to za dziwna siła jest w tej "tradycji" i na czym właściwie ona polega? Każdy prawy kawalerzysta odpowie na to pytanie bez wahania i namysłu: wiara w Boga, miłość Ojczyzny, umiłowanie honoru ponad wszystko, umiłowanie swego pułku, jego barw, historii i zwyczajów, stawianie zawsze jego interesu ponad swój, wykonanie każdego rozkazu chętnie i bez namysłu, chociażby groziła śmierć, i tylko ten, kto myśli i czuje po naszemu, ma prawo do nazwy kawalerzysty z "tradycją." Śmiem twierdzić, że tylko właśnie tym zasadom zawdzięcza jazda polska swą wartość moralną, a tym samym i bojową.

Kawaleria jest to jakby taka "końska międzynarodówka," a główną przyczyną tego—znowu jest tradycja, która zastępuje w tym wypadku jakby hasła międzynarodowe. Tak n.p.: kawalerzyści z całego świata, bez względu na to gdzie się spotkają natychmiast się zwąchają i porozumieją. Od razu mają sobie wiele do powiedzenia, a po kilku godzinach—są przyjaciółmi. Tego nie zrozumie żaden inny rodzaj broni nie posiadający trdycji.

U nas w Polsce tradycja konna niwelowała nawet różnice pomiędzy nami, a mniejszościami narodowymi (mowię o tych, co służyli w kawalerii). Przykład: Oficer kawalerii po walkach wrześniowych przedziera się na Węgry, jest już koło samej granicy i musi wziąć przewodnika. Przy poszukiwaniach natrafia na typowego "siczownika." Sytuacja bez wyjścia, ale "siczownik" okazuje się ułanem jego pułku i wszystko zmienia się, jakby pod wpływem różdżki czarodziejskiej. Oficer doprowadzony do granicy zostaje pożegnany ze łzami w oczach, nie przez "siczownika," ale przez kolegę-ułana. Taką ma siłę konna tradycja.

KRWAWY WRZESIEŃ

Rok 1939-ty zastaje kawalerię gotową do wojny moralnie. Natomiast w stanie:

złej organizacji,

złego uzbrojenia.

Armie Hitlera runęły ze wszystkich stron. Dywizje pancerne druzgotały w dosłownym znaczeniu tego słowa, nieprzygotowanych do tego rodzaju walki Polaków. Zaskoczenie było kompletne. Jazda polska zostaje źle wykorzystana. Nigdzie nie ma masy, wobec czego jazda nie może być użyta ani na bokach, ani tyłach—tak czułych na to—dywizji pancernych nieprzyjaciela. Biją się wobec tego w odosobnieniu na wielkich przestrzeniach słabe liczebnie, oraz źle uzbrojone, brygady, pułki i szwadrony obarczone zadaniami przekraczającymi ich siły i możliwości.

Jakże reagowała nasza jazda? Od pierwszych chwil wielu dowódców zdało sobie sprawę z beznadziejności walki. Ale czy zaprzestali jej? W powodzi uciekających tyłów, oraz wśród uciekającej ludności, nie było kawalerzystów. Nieliczne wyjątki nie mogą być brane pod uwagę.

Bita i miażdżona przez przeważające siły wroga, słała kawaleria polska trupami jeźdźców i koni ziemie rodzinne. Nie są to czcze słowa, ale naprawdę były szarże z lancami na czołgi. I opinia ogółu musiała przyznać, że kawaleria dobrze spełniła swój obowiązek. Dali temu wyraz nawet i Niemcy, poruszajac tę sprawę w swej prasie i radio.

Przykłady:

*BITWA POD CHOJNICAMI 1/IX.*39

18.p.uł. Pomorskich wzmocniony baterią 11.d.a.k.ma za zadanie osłonić lewe skrzydło własnej piechoty, broniącej węzła kolejowego Chojnice. Skrzydło wiszące. Następny oddział znajdował się o 18 km. Pozycja nieumocniona.

Dostaje on uderzenie nieprzyjaciela w sile pułku piechoty, dwuch dyonów artylerii i baonu czołgów. Jeżeli wziąć pod uwagę, że żywa siła spieszonego pułku kawalerii równa się czterem plutonom piechoty, to wykonanie swego zadania przez pułk w ciągu 5-ciu godzin jest dziełem nieomal przekraczającym ludzkie możliwości. Ginie D-ca ś.p. płk. Kazimierz Masztalerz, zabito jedenastu oficerów, kilkunastu rannych, straty pułku przekraczają 60%.

Ale zadanie wykonano, pułk odchodzi na rozkaz po wycofaniu się własnej piechoty. Tradycji stało się zadość.

BITWA POMORSKIEJ BRYG. KAWALERII

Wskładzie: 8 p.s.k. 2 p. szwol. 11 DAK Jazda Dyw. 27 D.P. część baonu panc. z Bydgoszczy. Oddział ten przebija się w niesłychanie trudnych warunkach terenowych w rejonie Świecia, przez otaczających go ze wszystkich stron Niemców.

Stacza on szereg walk pod Polednym, Grucznem, Luszkowem, Topolnem. Artyleria posuwa się w pierwszej linii, strzelając na wprost. Oficerowie z karabinami w ręku walczą na równi z żołnierzami. Straty ogromne, jednak brygada przebiła się. Zadanie wykonane, tradycji stało się zadość.

8 *P.U. POD JACNIĄ*

Po kilkugodzinnej walce z pułku zostają strzępy. Jego D-ca płk. Dunin-Zuchowski zbiera kilkunastu oficerów i podoficerów, by z nimi przebijać się na Węgry, ale nie zapomina o tym zameldować swemu D-cy Brygady. Składa meldunek ze łzami w oczach: "Panie Pułkowniku melduję chwilowe odejście 8 p.u. ks. Józefa Poniatowskiego." Bo tak odejść nakazuje tradycja. Tradycja przelewana z ojca na syna.

19-*a BRYGADA KAWALERII*

Oddział zmotoryzowany bez jednego żywego konia, natomiast wychowany na tradycjach kawalerii. Toczy on szereg zaciętych walk z przeważającymi siłami przeciwnika, szczęśliwszy od swoich konnych towarzyszy. W odpowiednim czasie dostaje rozkaz, który umożliwia mu w całości przejście granicy Węgier. Lecz walki jego są wspaniałe i przejdą do historii wojen. Do dziś dnia oddział ten pełni służbę, jako całość, już tutaj w Anglii.

A boje wielkopolskiej bryg. kaw., krakowskiej, podlaskiej i wielu innych? Czyż można przedstawić tu wszystkie przykłady? Nie, bo przykładami tymi są wszystkie walki naszej kawalerii, z małymi zaledwie wyjątkami.

Towarzyszyła w tych bojach naszej jeździe, zawsze i wszędzie artyleria konna, też oparta o tradycje, które stworzył dla niej pod Ostrołęką—generał Bem.

Resumując, musimy wyciągnąć prosty i jasny wniosek, że główne uzbrojenie naszej jazdy, które na wstępie nazwałem tradycją, było jedyną bronią, jaką ona w dostatecznej ilości mogła przeciwstawić hordom Hitlera.

OSTATNIE ZADANIE JAZDY POLSKIEJ

Dziś przed nami staje już inne pytanie: co będzie z kawalerią dalej?

Ze smutkiem, ale po rycersku, trzeba sobie zdać sprawę, że my, obecnie jeszcze żyjący kawalerzyści, jesteśmy ostatnimi przedstawicielami tego rodzaju broni. Te kilka, czy kilkanaście szwadronów, które w przyszłości będą pełnić służbę jazdy dywizyjnej przy piechocie, reprezentować K a w a l e r i i nie będą w stanie.

Pozostanie po niej pamięć—i "Trylogia." Pozostanie po niej i tradycja, której nic nie potrafi i nie potrafiło zniszczyć. Tę najpiękniejszą broń, musimy przekazać w godne ręce. Komu? . . . Czy jakiemuś wybranemu rodzajowi broni?

Nie. Bez konia naszego najdroższego przyjaciela nie może być oddziału, który śmiałby się nazwać kawaleryjskim. . . . Może tylko opierać się na tradycji kawalerii, pielęgnować i czcić ją.

Toteż nigdy nie przestaniemy czytać ani "Trylogii," ani tej świętej księgi kawaleryjskiej, którą, jest "Diariusz Pułku Jazdy Wołyńskiej " Karola Różyckiego. Mechaniczny koń jest szybszy, potężniejszy. . . . Zgoda. Ale to nie bachmat polski. Szkoda nawet o tym mówić, bo tego oprócz nas nikt nie potrafi zrozumieć. Oddajmy naszą "Tradycję" całej Armii Polskiej.

Jakże ją przekazać? Jest to święty obowiązek, który obarcza nas wszystkich obecnie, jeszcze żyjących kawalerzystów. Wyjście widzę jedno. Wolą losu, musimy się rozejść po całej armii . . . ba, po całym narodzie. Musimy wykonać ten ostatni rozkaz naszej "tradycji" i pójdziemy. Pójdziemy wszędzie, gdzie tylko będzie trzeba. Poniesiemy ze sobą naszą "tradycję" i będziemy ją krzewić wszelkimi dostępnymi dla uczciwego człowieka sposobami, przede wszystkim zaś p r z y k ł a d e m o s o b i s t y m, oraz natychmiastową reakcją każdego z osobna i wszystkich razem, wszędzie i zawsze, na każdy przejaw nieetycznego, nieuczciwego i niepolskiego postępowania. Machnijmy ręką na antagonizmy i przykrości, które nas spotkają. Pamiętajmy jedno: my ostatni kawalerzyści, musimy wykonać akt przekazania naszej "tratycji" całej tak kochanej przez nas Armii Polskiej.

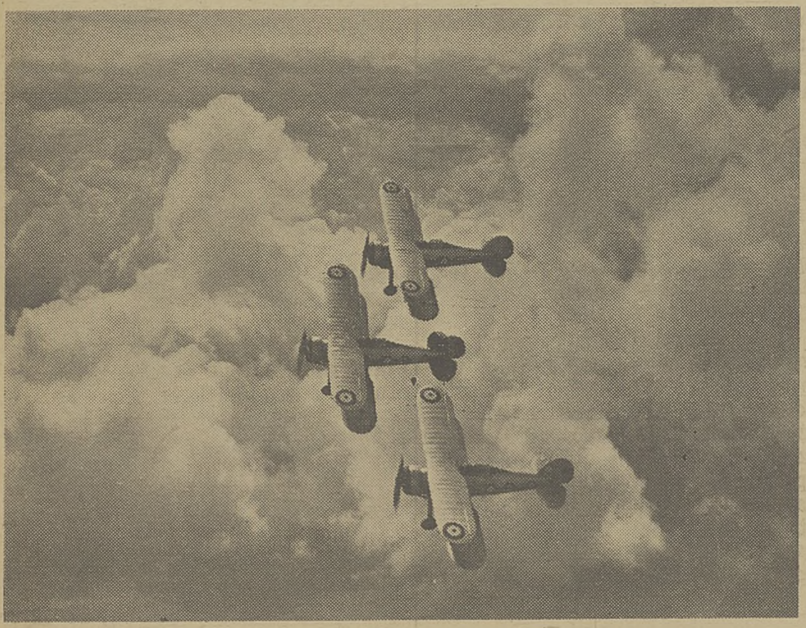
W imię czystej miłości dla kawalerii, musimy spełnić to nasze ostatnie posłannictwo.

Adam Zakrzewski

LOTNICY OPOWIADAJĄ O SOBIE



Myśliwiec "Hawker Hurricane"



Formacja myśliwców "Gloster Gladiator"

Czytelnik już wie, że na jednym z lotnisk w okolicy Londynu stacjonuje inny polski dywizjon myśliwski, który zmienił w walkach nad Londynem dywizjon imienia Tadeusza Kościuszki. Na swoim koncie ma on mniejszą liczbę zestrzelonych maszyn wroga, bo nie ma obecnie takich masowych nalotów, nie mniej jednak piloci tego dyonu są tak samo dzielni i bohaterscy, jak piloci dyonu imienia Tadeusza Kościuszki. Podajemy kilka krótkich opowiadań pilotów tego dyonu z ich walk powietrznych nad Londynem.

Walka odbywała się w rejonie płdn.-zach. części Londynu na wysokości około 17.000 stóp w dniu 15 września b.r.o godz. 12 min. 10 z jedną z większych niemieckich wypraw bombowych.

—"Atakowaliśmy szyk około trzydzietu samolotów Do 17 i Do 215. Strzelałem do ostatniego Dorniera, lecącego w zgrupowaniu, z odległości około 80 mtr. Po oddaniu przeze mnie dwóch seryj strzałów samolot wroga gwałtownie splanował w chmury i wobec tego skutków moich strzałów stwierdzić nie mogę. Nie mniej jestem pewny, że pociski moje były celne. Wszedłem również w chmury i po wynurzeniu się zobaczyłem dwa Dorniery, które były atakowane przez kilka naszych Hurricanów. Po kilku sekundach walki oba bombowce spadły w płomieniach."

—"Zauważyliśmy wyprawę bombową Do 17 i Do 215, lecącą w kierunku północnym, która następnie skręciła i poszła w kierunku południowym. Wyprawa ciągnęła szykiem trójkowym. Zaatakowałem wraz z innymi 12 bombowców, oddając jedną serię do bombowca, do którego strzelały dwa inne Hurricany. Z lewego jego silnika wybuchł czarny dym i bombowiec zaczął planować w prawo w dół. Odszedłem w prawo w górę. W tej chwili zauważyłem Me 109, który siedział na ogonie nurkującego Hurricana. Zaatakowałem go natychmiast i oddałem dwie serie strzałów. Pociski były celne, gdyż z Me 109 poleciały kawałki, a samolot wkrótce spadł w chmury."

—"Zaatakowaliśmy bombowce niemieckie w liczbie około trzydziestu, które leciały wyciągniętym szykiem trójkowym. Po pierwszym ataku, w czasie którego oddałem trzy krótkie serie do jednego Do 17, którego atakował wraz ze mną jeszcze inny Hurricane, zobaczyłem dym wydostający się z kadłuba koło kabiny. W czasie ataku strzelec tego samolotu broniąc się, trafił w skrzydło mego samolotu. Wkrótce samoloty wroga skryły się w chmury. W czasie walki widziałem, jak palący się już Hurricane atakował nieprzyjacielski bombowiec, uderzył skrzydłem swego samolotu w kadłub Do 17, skręcił w lewo i wpadł w chmury."

—"Atakowałem w kluczu szyk Do 17 i Do 215. Spadliśmy na tylne trójki bombowców. Po rozproszeniu szyku bombowców, zaatakowałem Do 215, który uciekał w lewo. Oddałem krótką serię z boku, a następnie drugą długą serię z tyłu. Z lewego jego silnika ukazał się czarny dym, a z silnika prawego—dym niebieskawy. Samolot zaczął spadać stromo do ziemi. Wkrótce wyskoczyło z niego trzech lotników i rozwinęło swe spadochrony. Z kolei zaatakowałem drugi Do 17, podchodząc z tyłu i z góry. Po oddaniu jednej długiej serii strzałów zobaczyłem dym wychodzący z lewego silnika. W tej samej chwili zaatakowały go inne Hurricany."

—"Zaatakowaliśmy w kluczu tył szyku około dwudziestu Do 17. Oddałem do lewo-skrzydłowego szyku krótką serię. Po wyjściu z ataku zrobiłem skręt o 90 stopni w lewo i ujrzałem pojedyńcze bombowce z rozbitego zgrupowania. Zaatakowałem najbliższy od strony słońca, oddając do niego 3-4 serie. Atak prowadziłem z małej przewagi wysokości i z boku. Ogień z moich K.M. rozpocząłem z odległości około 300 mtr., a skończyłem na 50 mtr. Strzelec Do 17 nie strzelał, pilot natomiast robił ostre skręty w prawo i w lewo. W chwili, gdy kończyłem strzelanie—wyskoczył z pod Do 17 Hurricane. Wykonałem wiraż o 180 stopni w prawo, nie widziałem przeto co się stało z Do 17. Natomiast w miejscu gdzie był przedtem bombowiec zobaczyłem kilka lotników wiszących na spadochronach."

—"Obłoczki dymów z rozrywających się pocisków artyleryjskich wskazały nam kierunek lotu bombowców niemieckich. Leciały według kursu 360 stopni, który następnie zakrętem w lewo zmieniły w kurs na 180 stopni. Zaatakowaliśmy ich całą eskadrą. Do jednego z bombowców oddałem trzy krótkie serie z odległości od 250 mtr. do 30 mtr. Z lewego silnika samolotu ukazał się dym i samolot zaczął gwałtownie spadać w dół. Odszedłem wirażem w lewo. W tym momencie zobaczyłem inny Do 17, który zaatakowałem z góry z lewej strony, oddając z odległości około 100 mtr. dwie krótkie serie. Po strzałach zobaczyłem dym, a następnie płomień, wydobywający się z lewego silnika. Dwu ludzi załogi wyskoczyło z niego i zaraz rozwinęli spadochrony. Na spadający w płomieniach bombowiec naleciał Hurricane, obcinając mu skrzydłem statecznik ogonowy. W czasie mego ataku na niego strzelec bronił się, strzelając z górnej wieżyczki."

—"Zobaczyliśmy około trzydzieści He 111. Leciały w szyku piątkowym, dość rozciągniętym. Zaatakowaliśmy ich. Strzelec atakowanego przeze mnie He 111 bronił się strzelając, lecz po pierwszej mojej serii zaprzestał ognia. Po drugiej mojej serii strzałów, bombowiec przeszedł w ostre nurkowanie. Uważam go za strącony."

—"Zaatakowaliśmy kluczem czoło uszykowania z około dziewięćziesięciu Do 17. Mieliśmy dużą przewagę wysokości i szybkości. Wszedłem w ogon Do 17, lecącego na lewym skrzydle i oddałem jedną serię strzałów z odległości około 150 mtr. Seria była skuteczna, gdyż tuż po jej zakończeniu zobaczyłem wielkie kłęby dymu wydostające się z lewego skrzydła i silnika. Samolot przechylił się w lewo i gwałtownie poszedł w dół. Upadku jego nie widziałem, gdyż wróciłem na miejsce walki."

—"Zaatakowaliśmy kluczem czoło szyku Do 17 i Do 215, mając przewagę wysokości i szybkości. Oddałem do jednego z nich dwie krótkie serie z odległości od 300 mtr. do 100 mtr. Skutku strzałów nie widziałem, gdyż po zakończeniu ataku poszedłem w lewo w dół. Wyciągając samolot w górę, spostrzegłem pojedyńczy Do 17 z lewa i z przodu ode mnie. Wykonałem manewr i zaatakowałem go z tyłu z góry, oddając doń trzy serie strzałów. Lewy silnik samolotu zapalił się i samolot zaczął nurkować. W tej chwili zaatakowały go jeszcze trzy Hurricane'y. Zaatakowałem z kolei drugi, lecz był już postrzelany przez inne Hurricane'y i zaraz też wyskoczyła z niego załoga, otwierając spadochrony."

Druga walka 15 września b.r. odbyła się o godz. około 14 min. 25.

—"Na wysokości 16.000 stóp spotkaliśmy przy ujściu Tamizy formację Do 215 w szyku trójkowym, lecących według kursu 360 stopni. Zaatakowaliśmy. Samoloty zaczęły się rozpraszać i uciekać w chmury. Poleciałem za jednym. Zeszedłem pod chmurę i czekałem jakiś czas. Gdy bombowiec wyleciał z chmury zaatakowałem go z przodu z góry. Ognia strzelca samolotowego do mnie nie zauważyłem. Drugi raz zaatakowałem go z ogona oddając serię. Zauważyłem dym z lewego silnika, następnie ogień. Samolot skręcił w kierunku morza.

W tym czasie wyleciał z chmur drugi Do 215. Zaatakowałem go. Strzelec samolotu ostrzeliwał mnie, po pierwszej jednak mojej serii przerwał ogień. Po oddaniu jeszcze jednej serii atak przerwałem, gdyż trafiłem wraz z nim w gęsty ogień artylerii. Gdy artyleria przerwała ogień, dogoniłem go i jeszcze raz zaatakowałem już nad morzem. Po moich strzałach trafiony bombowiec bezwładnie spadł w morze."

—"Na wysokości 20000 stóp nad północnym Londynem zaatakowaliśmy kluczem siedem Do 17. Po oddaniu do jednego z nich trzech dłuższych serii, zobaczyłem odlatujące stery i kawał skrzydła urwanego tuż przy kadłubie. Bombowiec spadł pod kątem 45 stopni. Zaatakowałem z kolei drugi i po oddaniu dwóch serii zobaczyłem biały dym, oraz jakąś część oderwaną z kadłuba. Samolot gwałtownie obniżył lot."

Opowiadania z innych walk.

—"Dnia 18.IX.40 godz. 17 min. 15 na wysokości 17000 stóp na płdn. od Londynu wykonaliśmy czołowym kluczem atak na szyk dwudziestu Do 215. Oddałem do jednego dwie krótkie serie. Niestety atak musiałem skończyć, gdyż za mną szły do ataku następne trójki. W drugim ataku do jednego z bombowców oddałem trzy dłuższe serie z odległości około 50 mtr. Widziałem, jak lotnik wyskoczył z bombowca, lecz spadochron jego zaczepił o opierzenie ogonowe samolotu. Obserwować dalej nie mogłem, gdyż otrzymałem serię pocisków z jakiegoś samolotu, które trafiły mój aparat w statecznik ogonowy i w skrzydło. Po stwierdzeniu, że samolot słucha sterów, wykonałem jeszcze jeden atak i oddałem do jednego z Dornierów dwie krótkie serie, bez większych wyników, lecz z powodu braku amunicji ogień musiałem przerwać. Po moim drugim ataku widziałem dwa spadające w ogniu bombowce, stwierdzić jednak nie mogę, czy to były te, do których strzelałem."

—"Dnia 18.IX.br. godz. 16 min. 15 na wysokości 22000 stóp zaatakowaliśmy szyk około trzydziestu Do 17, lecących w kierunku północnym. Z odległości około 1000 mtr. oddałem krótką serię z tyłu do jednego z lewej strony szyku. Samolot zapalił się z lewego boku. Po drugiej krótkiej serii wyskoczyło z niego trzech lotników i otworzyli swe spadochrony. Po trzeciej serii z samolotu zaczęły odrywać się kawałki różnych części i jeden z nich wpadł pod moje śmigło, uszkadzając jedną z łopat i chłodnicę oleju. Silnik mego samolotu zaczął mocno trząść i zarazem strumienie benzyny zalały moją kabinę, zalewając mi również oczy. Musiałem wyłączyć silnik i lądować na przygodnym terenie. Planując widziałem spadający w płomieniach bombowiec zestrzelony przeze mnie. Wylądowałem bez uszkodzeń."

—"Dnia 18.IX.br. godz. 17 min. 25 na wysokości 12000 stóp zaatakowaliśmy nad ujściem Tamizy trzydzieści Ju 88. W czasie ataku oddałem do jednego dwie serie. Następnie zaatakowałem lecący samotnie w dole bombowiec, oddając trzy serie z boku. Widziałem jak coś z samolotu wypadło i za chwilę zobaczyłem jak jeden z załogi wyskoczył i otworzył spadochron. Samolot spadł w morze."

—"Dnia 18.IX.40 gdz. 15 min. 20 na wysokości 17000 stóp spotkaliśmy szyk z około trzydziestu Ju 88. Atakując w kluczu, strzelałem do samolotu lecącego z lewej strony szyku. Drugi atak prowadziłem za atakiem innego Hurricane na ten sam Ju 88. Widziałem jak już wydostawał się z niego czarny dym. Oddałem z tyłu krótką serię z odległości około 50 mtr. Wyskoczył z niego strzelec. Następnie zaatakowałem inny bombowiec, który usiłował uciec w chmury. Strzelec jego strzelał do mnie. Ogień jego był dość celny, jednak pociski szły trochę górą. Po mojej serii strzelec umilkł. Zaatakowałem go jeszcze raz i oddałem serię z odległości około 30 mtr. Samolot spadł do morza i rozbił się zupełnie."

—"Dnia 21.IX.br. godz. 15 min. 50 na wysokości 12000 stóp nad morzem zauważyłem samolot Ju 88, lecący lotem nurkowym. Dowódca klucza, Anglik zaatakował go wraz z nami. Z odległości około 200 mtr. otworzyłem ogień i zauważyłem jakieś części odlatujące od kadłuba. Po trzeciej serii ognia samolot wleciał w chmurę, a za nim cały nasz klucz. Po przeleceniu chmury zobaczyłem Ju 88 i za nim atakującego go dowódcę klucza. Po nowej serii strzałów Ju 88 wpadł w drugą chmurę. Po wyjściu z niej już go nie widziałem. Dołączyłem do dowódcy klucza. W dalszym ciągu o godz. 16 min. 20 zauważyłem samolot lecący z nad morza w odległości około 1 klm. Zbliżyłem się do dowódcy klucza, pokiwałem skrzydłami i poleciałem w kierunku dostrzeżonego samolotu. Nie mogłem go wpierw dokładnie rozpoznać, ponieważ miałem słońce lekko z mej prawej strony i z przodu. Dopiero z odległości około 200 mtr. rozpoznałem w nim Ju 88. Zaatakowałem go i oddałem trzy serie strzałów. Zobaczyłem przedmioty wylatujące z niego i dużą czarną smugę dymu za lewym silnikiem. W takim stanie samolot nurkując wpadł w chmurę."

Tak walczą nasi piloci, zawsze zaciekle, zawzięcie, starając się zniszczyć jak największą ilość wrogów i jego samolotów, bo każdy zestrzelony samolot wroga przyczynia się do zwycięstwa.

Półkozic



Nad wodami Kanału

Listy z Sybiru

Odpowiadając na życzenia Czytelników, zaczynamy drukować wiadomości o rodakach, którzy zostali po tamtej stronie szańca, którym przypadł los o tyle cięższy od naszego losu—żyjących w wolności, walczących o wolność. Otwieramy ten dział trzema autentycznymi listami z Syberii oraz wiadomościami z dwu miast polskich z pod dwu wrogich okupacyj. Treść tego wszystkiego jest posępna, chwilami straszliwa. Podzielamy jednak zdanie licznych Czytelników, że od tej prawdy nie należy się uchylać, że trzeba jej patrzeć prosto w oczy, z tego patrzenia popadać nie w słabość, ale czerpać siłę, umacniać wolę, wzmagać zaciekłość walki.

Redakcja

LIST PIERWSZY

Dnia 23/V. 1940 r.

Otóż znachodzimy się z dala od was (około 3.500 km.) za górami Ural na słynnej w historii Syberii, między rzekami Tohoł i Ural. Przepięknie tu i głucho. Klimat kontynentalny, stepy i stepy. Ani krzaczka, ani jednego drzewa. Cztery rodzaje ptaków: czajki, dropie, wróble i kraczki podobne do naszych gołębi. Ze zwierzyny: zając. Słońce pięknie świeci, lecz nie grzeje. Nadto uprzyjemniają nam wieczory komary gryzące do rozpaczy. Domy —piękne kamienice z gliny, zwane lepianki. Drzewa opałowego brak zupełny, tak jak innych rzeczy. Pali się tu łajnem krowim i trawą stepową. Co dnia zbieramy i palimy w piecykach. Wiatry stałe wschodnie.

Mieszkamy w takiej kamienicy z gliny, po dachu której chodzą kury, nawet świnie. Wnioskować można, że jest bardzo wysoka. Umeblowanie nasze składa się z 3 skrzyń, które były z naszymi rzeczami zabrane i na których się obecnie śpi, stół z wbitymi nogami do ziemi i 1 ława. Długość salonu 3.30 x 4 m., wysokość 2.50 m. Podłoga asfaltowa, co tygodnia czyści się pastą z łajna krowiego. Okna 2 małe 60 cm. na 40 cm. Drzwi 120 cm. na 80 cm. Tu jest wysoka technika. Cielę gospodyni co dnia liże z nadworu szyby i w ten sposób okna czyste są zawsze.

Pamiętnego dnia 13 kwietnia, zabrani o godz, 3-ciej rano, zabrany tylko niektóre rzeczy. Inne, [illegible]%, zostało w domu. Rzeczy dowiozły się bez przeszkód. Żadnych rewizji ani konfiskat nie było. Można brać co się daje, tylko dobrze jest zapakować w skrzynie na kłódkę i rączki by miały. W sobotę 13 kwietnia zabrali nas autobusem do . . . i tu zawagonowali nas do wagonów towarowych. Osób w naszym wagonie było 33. Następnie nasze rzeczy umieściliśmy w wagonie. Była w wagonie t.zw. tepluszka (piecyk, który był nam bardzo potrzebny, bo nie było drzewa). Wygoda była z wychodkiem. Mianowicie dziura w podłodze i tam towarzystwo chodziło na stronę.

Wieczorem około 9-tej godziny wyjechaliśmy z . . . przy dźwiękach płaczu strasznego, narzekań i klątw, co ślina na język przyniosła. Po trzech dniach stanęliśmy na granicy sowieckiej. Tu nas przeładowali do rosyjskich wagonów szerokotorowych wraz z rzeczami. Piecyków już nie dali. Byliśmy już bez ciepłej strawy.

I tak bez przerwy dzień i noc zajechaliśmy do stacji wyładowania. Podróż trwała 14-ie dni. 26/4. o godz, 9-tej rano wyładowali nas i autami rozwieźli do kolhospów na kwatery, o jakiej już wyżej wspomniałem. Pożywienie nasze przez cały czas podróży: woda, chleb i wiktuały zabrane naprędce z domu. Dawali nam na większych stacjach tj. co drugi dzień kipiątok (gorąca woda brudna) i kaszę z pszona. Chleb, ćwiartka na osobę na dwa dni.

Napatrzyliśmy się dość przez cały czas podróży na kraj miodem płynący i doszliśmy do wniosku, że najlepszym wyleczeniem z komunizmu, wysłać gości takich tu. Ręczę, że za dwa tygodnie będzie już miał tych zasad dość i rozpocznie normalne życie człowieka kulturalnego i pragnącego żyć zasadami Zachodu. Ludzie tu smutni i posępni, zresztą jak i wszędzie to samo po dworcach spotykaliśmy. Muszę nadmienić, że wagony były zamknięte, jak również i okna, tylko przez szpary widzieliśmy okolicę. Na stacjach otwierali ciubaryki i mocno pilnowali.

Przygnębienie okrutne. Niezadowolenie takie same. Niczego nie ma. Nafty dają tylko w zimie 3 l. na cały okres zimowy. Świec w ogóle nie znają. Mydło jest rarytasem. Dają mały kawałek na kilka miesięcy. "Poterają" t.zn. piorą bieliznę w ługu ze słomy. O innych towarach jak herbata, kawa, ocet, ryż, grysiki różne, oliwy, czekolady, cukier, drożdże, szkoda marzyć, w ogóle nigdy nie ma. Nawet ci młodzi nie wiedzą, co to jest takiego. Drożdże robią sami z chmielu. Ocet nauczyła teściowa robić z serwatki. Natomiast cytryny, owoce, pomarańcze, figi, orzechy itp.—nie wiedzą co to jest i tego w życiu nigdy nie widzieli i nie jedli. Sklepów tu nie ma, są t.zw. ławoczki kooperatywne i w nich można dostać pasty zwanej *krem sapożnyj* czarnej lub czerwonej, albo różne broszki z portretami bogów ich, jest nawet krem do rąk zwany wazeliną i nawet pachnie różami, szklanki z zielonego szkła, lepsze wyrabiają w hucie w . . . co kosztuje 8 groszy, tu kosztuje tylko 40 ruble 80 kop., talerze płytkie z białej gliny, ale wygląd wcale nie biały, jakiś szary, jeden rubel guziki, różne portrety bogów, tego jest najwięcej. Tytoń i bibułki, to tylko marzenie. Przywożą dwa razy do roku tylko dla robotników machorkę po kilka paczek, bibułki to gazetka, im w zupełności smakuje.

Co się tyczy materii i obuwia, to w ogóle wierzyć się nie chce, by w XX. wieku coś podobnego dziać się mogło. Prawie chodzą nago w perkalach. Tu jak zobaczyli, jakie mamy ubiory, bieliznę, różne chusteczki, obrusy, to wprost wierzyć nie chcą, że podobne rzeczy w ogóle możliwe są na świecie. Formalnie zapominają się ze zdziwienia. Macają, oglądają, przewracają i macają i formalnie durnieją. *"Wot i charosze, zdorowe"* powtarzają.

Im mówili stale, że u nas głód i nędza, że ludzie chodzą goli, a teraz widzą, że ich tak okłamywali, że tak dobrze nam było. Pytają poco my tu przyjechali jeśli tak dobrze nam tam było. Mówimy im, że nas przymusowo zabrali jako wrogów narodu. Oni na to nam mówią, że im powiedzieli, że my ochotnie tu przyjechali bez przymusu, bo u nas głód i nędza. A teraz się przekonali, że to wszystko kłamstwo, że zresztą tu kłamstwo jest głównym środkiem propagandowym.

Ludzie tu psioczą i proszą Boga o jakąś zmianę. Patriotów tu bardzo mało, nawet i wśród młodzieży. Trzyma się tu wszystko sztucznie, nie ma komu tego słonia o glinianych nogach trącić, a wszystko się rozleci, jak pióra na wietrze. Przed "grzybami" w zielonych czapkach mają strach i przygnębienie, bo nie wiesz dnia ani godziny, co z tobą będzie. Żydzi zajmują w miastach wiele stanowisk. Art. 12 konstytucji jest sprzeczny z rzeczywistością. Wyzysk człowieka przez człowieka jest okropny. Pracują dzień i noc bez przerwy, by zarobić na chleb. Ośmiogodzinny dzień pracy jest— ale na papierze.

Nas wywiezionych jest około 2,402. W drodze spotykaliśmy transporty z różnych stron, począwszy od Żabiego, a skończywszy na Białymstoku. Przemyśl, Lwów, Sambor, Stryj, Wołyń i inne. Całe wszystko to osiadło na stepach Sybiru. Jesteśmy z tego dumni, że możemy nosić miano Sybiraków—pracujemy na stepach, hartujemy ciało pracą fizyczną a ducha hartujemy straszną zemstą, zemstą, jakich dzieje jeszcze nie notowały. Panowanie antychrysta skończy się. Plugastwo wstrętne musi zniknąć raz na zawsze z globu. To plugastwo czuje już swój koniec, my tu pilnie to obserwujemy, chodzą jak na węglach, czują, że zbliża się dzień straszny, dzień rozrachunku i wyrównania krzywd milionom niewinnych ludzi wyrządzonych.

Religia jest tu uważana za tumanienie ludzi. Starzy ludzie natomiast wierzą w Boga i modlą się. Po domach wiszą na ścianie obrazy Matki Boskiej, św. Mikołaj, św. Trójca i inne. Chodzą na cmentarz zw. grabki i tu modlą się za dusze zmarłych i proszą o lepsze czasy. Cerkwie są zupełnie rozebrane, lub też zamienione na magazyny zbożowe, lub też na domy klubowe. Starzy na Wielkanoc sprawiali prażnik na grobach. Przynieśli dużo jadła, kraszanek tj. jaj pisanek, modlili się i później pili i jedli na pamięć zmarłych. Coś w rodzaju stypy. Ponieważ brak tu świec, więc do puszek blaszanych kładli łajno krowie już wysuszone, zapalali to i tym kadzili groby. Tak w kraju kwitnącym czci się pamięć zmarłych.

Chłopi trzymają tu krowy, kury, świnie, owce, i wypasają je na stepie. Korzyść z tego ma taką, a mianowicie z krowy musi dać 120 litrów mleka do mleczarni po 2 kop. za 1 litr, nadto masła i to topionego 10 kg., z owcy 1 kg. wełny, a owca więcej nie ma wełny, z kur jaja musi dać za łacha, bo inaczej nie dostanie tej drogocennej szmaty. Jeden metr tej szmaty 50 jaj kosztuje, a 10 jaj kosztuje 5 rubli. Jeden litr mleka prywatnie 2 ruble. Jeden pud (16 kg.) mąki razowej pszennej 50 rubli, a przesianej razowej 75 do 80 rubli za jeden pud. Masło kosztuje 30 rubli za 1 kg., tak samo słonina. Gdy zabiją świnię nie wolno krajać skóry ze słoniną tak jak u nas, tylko musi się ściągnąć skórę, którą zabierają do wyrobu butów wzgl. trzewików. Buty kosztują 500 do 800 rubli, trzewiki skórzane to luksus. Ceny nawet nie wiem. Są tylko płócienne z podeszwami z dziwnej masy, à la guma. Kosztują 25 rubli. Walonki za ruble nie dostaniesz, trzeba dać 3 i pół kilograma wełny, a 1 kg. wełny kosztuje 100 do 120 rubli. Naczynie kuchenne, blaszane, polewane to luksus, można dostać w Moskwie i kosztuje bardzo dużo. Są baniaki zwane czawuny, żelazne, niepolane szkliwem, kosztuje 5—8 rubli. Z takich i my teraz wcinamy zupę. Jednym słowem raj jakich mało, swoboda i równość.

Nie będę pisał o ogładzie towarzyskiej. Dzicz i basta. Oto obrazek: wchodzę do chaty, w której mieszka inteligenta osoba, która uczy w tut. szkole. Pukam do drzwi—naszym zwyczajem, nikt się nie odzywa. Pukam po raz drugi—nic—trzeci to samo. Otwieram drzwi na szerokość jakich 5 cm i pytam, czy ktoś jest w izbie, słyszę odpowiedź: "Da, da" pytam czy mogę wejść do izby. Otrzymuję odpowiedź: "można," więc wchodzę, zastaję ją nago do połowy tylko, w spódnicy. Na taki piękny widok cofnąłem się do sieni, a ona ze śmiechem wychodzi za mną i pyta, dlaczego ja uciekam. Powiadam jej przyczynę, na to ona powiada, że u nich tak naturalnie ,a my mamy burżujskie zasady, a u nich inaczej. Oto jeden z licznych przykładów.

Wszystko bardzo prymitywne i przestarzałe. Na każdym kroku widać niedbalstwo, brud, brak wychodków w zupełności. Łajna na stacjach kolejowych, na szynach, trzeba bardzo uważać. Patrzymy na to wszystko i nie możemy pojąć, że świat cały patrząc na to, pozwolił 183 milionom ludzi tak się męczyć. Wielką nadzieję mają na Adolfcia, cieszą się z jego wyczynów i twierdzą, że on do nich musi przyjechać i dać to, co ma zachód. Obecnie powołano pod broń 12 roczników rezerwy od 18—32 lat. Piekarnie bez przerwy pieką suchary, chleba trudno dostać. Twierdzą wszyscy, że w tym roku musi coś wybuchnąć.
My bardzo mało wiemy o dziejach w świecie, bo gazet nam nie wolno czytać, ani radia słuchać. Dostajemy cichaczem od tut. ludzi gazety, ale oni się bardzo boją, by ktoś ich nie doniósł grzybom w zielonych czapkach.

Nas zatrudniają tylko przy ciężkich robotach. Dużo naszych z tego powodu leży chorych. Zakazali gospodarzom dawać nam jedzenia tak, że musimy ostatni łach mieniać na trochę kartofli czy mąkę, bo inaczej zginęlibyśmy z głodu. Powiadają, że w jesieni dopiero dostaniemy nasz zarobek. Opał zbieramy na stepie, trawę, burzany—i tym palimy. Gotujemy tylko raz dziennie, bo szkoda opału i nie ma co gotować. Żyjemy zupą kartoflaną i kawałkiem chleba, wieczorem chleb i popił wodą. Czasami dostaniemy po cichu trochę mleka od gospodarzy, kilka jaj lub sera. Boją się dawać, bo grzyby zjawiają się w chacie.

I tak Polacy od prastarych wieków cierpieć muszą i ginąć w kryminałach i Sybirach i na polu walki, by w ten sposób wywalczoną wolność stracić znowu w krótkim czasie. Niewinni ludzie cierpią. W nowej Ojczyźnie będziemy wiedzieli, kto ma rządzić i jak. Mamy 100% nadziei ku temu i na chwilę nie wątpimy, chociaż mocno nas wszy gryzą, a wspomaga ich jeszcze awiacja komarów stepowych, gryzących do okropności.

LIST DRUGI

Kraj Semipałatyński maj 1940

Droga Pani,

Proszę wszystkim znajomym dać znać, że żyjemy—w tym słowie mieści się wszystko. Po 22 dniach piekielnej jazdy wysadzili nas w głębi Azji na stepach kirgizkich, setki kilometrów szare pustki, ani jednego drzewa, ani trawy. Zmienili nam już trzy razy miejsca, a teraz dojechaliśmy do tej fermy po dwóch dniach jazdy wołami. Cztery noce spędziliśmy pod gołym niebem, słońce szalenie praży, a wicher tnie skórę do krwi.

Tu parę lepianek w czystym stepie. Mieszkamy w takiej jednej bardzo wilgotnej, na ziemi śpimy i bieda okropna. Ani jarzyn, ani kartofli, a trochę jaj zdobywa się tylko na zamianę. My nic na zamianę nie mamy. Tu są panie, które mają dużo zapasów, naczyń, konserw, materaców i tym jest lepiej, ale nam jest okropnie. Całe szczęście, że spotkaliśmy panią X, która ma ze sobą trochę rzeczy i zapasów. Mieszka z nami, gotujemy obie, pierzemy i pracujemy jak woły.

Mąż mój szalenie wychódł i okropnie osłabł w nogach, ledwie dać rady mogę. Trzeba go myć, ubierać, nic sam zrobić nie może. Wieczór padam ze zmęczenia i krzyżów nie czuję. Nie wiem jak dam rady dalej, o ile nas tu zostawią. Co zdobywamy, to wszystko pakujemy w męża, aby jaknajlepiej odżywiać, ale niczego dostać nie można w tym pustkowiu.

Co słychać u nas? O ile byłoby możliwym dostać trochę mąki, mamałygi, tłuszczu i herbaty, można paczkami po 8 klg. wysyłać. Chodzi o to czy ma ktoś pieniądze, aby kupić. Trzeba adresować po rosyjsku. Moc czułości wszystkim i serdeczności—prosimy o modlitwy. O ile wysyłałaby Pani jaki pakunek, proszę o trochę waty i mydła do prania, bielizny nic nie mamy i ciągle piorę.

LIST TRZECI

Moja Droga Pani,

Nie wiem czy moje listy dochodzą, bo w telegramie nie wspomina Pani o tym. W każdym razie telegramem ucieszyliśmy się jak wariaci, bo pierwsze słowo z kraju od swoich i pewność, że Pani na miejscu, bardzo pociesza. Na paczkę czekamy jak dzieci na św. Mikołaja, czy jednak dojdzie? Dam znać telegramem.

Niepokoję się bardzo o Panią X. Nic nie wiem co się z nią stało—co z meblami—czy dali jakie pieniądze, jeżeli tak—niech bierze z tego na życie.

Moja Pani droga, tyle ciśnie się pod ołówek słów, a trudno— wszystko, co by się napisało byłoby znacznie za blade. Ferma, na której siedzimy, to kilka walących się lepianek w pustym stepie. Wilgoć duża, jak deszcz pada, zalewa nam całą izbę i wszystkie rzeczy. Leżymy i żyjemy na ziemi, bo tu nigdzie ani stołu, ani krzesła. Od miasta bardzo daleko i tam nam jechać nie wolno.

Haruje się cały dzień, tak, że bez życia pada się wieczorem, ale niestety mnóstwo pcheł i pluskwy spać nie dają. Pani X wzięta do pracy do gnoju, bo tu to robią głównie, nosi się gnojówkę z nawozem rękami; 8 godzin dziennie (na opał to robią). Wynagrodzenie żadne, a jako przydział raz na 10 dni 1 kg. mąki, bardzo ciemnej i bardzo gorzkiej.

Ja gotuję na 5 osób, piorę, sprzątam, szoruję podłogę, no i dużo nam zajęcia z moim mężem, który schudł bardzo. Straszny ten brak rzeczy, bielizny, letnich sukien, skwar się zaczyna—muchy w milionach. Od kiedy tu jesteśmy nie widzieliśmy chleba, cukru, herbaty, tłuszczu, świec, mydła na pranie, kaszy, nic—ale tu nic dostać, więc czym żyć?

Dlatego błagam, o ile się z paczką uda, to proszę przesłać trochę bielizny, letnie suknie i stare sandały białe. Nogi popuchnięte, a bucików nie mam.

Myślą i sercem jestem ciągle z Wami, często okropnie. Piszcie, módlcie się—czy ktoś dał znać moim dzieciom, o ile okazja. Pozdrowienia wszystkim znajomym, kto z nich wywieziony?

TRZY KOCHANIA

Nie chcę. Nie będę śpiewał pieśni
ani do Betty, ani Jessie.
Nie będę prawił o kochaniu
Ani do Daisy, ani Fanny
Nie będę składał czułych zwrotek
ni do Bretonek, ni do Szkotek,
Choćby najmilszych i najszczerszych.
Nie chcę. Nie będę pisał wierszy.

Bo jedno wielkie mam kochanie,
któremu serce-m oddał w dani.
Mieszka w Warszawie, na przedmieściu,
jest zawsze życia mego treścią.
Ma dobry uśmiech, oczy dziwne,
Trochę zielone—trochę piwne
słoneczną z włosów ma koronę.
To mój przyjaciel—moja żona.

A przy niej dzieci małych dwoje,
drugie kochanie wielkie moje.
I jeszcze me kochanie trzecie:
Jacek, najstarszy z moich dzieci . . .
Dom cały na mnie w kraju czeka;
życie przechodzi—jak daleko . . .
. . . .
Do dziewcząt nie napiszę wierszy,
choćby najmilszych, choć najszczerszych.

W. S. Kłodowski

Z Polski okupowanej

Pierwszy rok wojny w Wilnie

POLITYKA SOWIECKA NA ODCINKU WILEŃSKIM

Rządy sowieckie w Wilnie, aż do chwili odstąpienia miasta Litwinom, nosiły przez cały czas charakter tymczasowości. Mało dbano o aprowizację ludności, która, zdziwiona, patrzyła, jak wywożono meble z biur i urzędów, maszyny z nieczynnych fabryk, druty, kable, a podobno i istniejące w Wilnie zapasy cukru, mąki itd. Kazano otwierać safesy banków i konfiskowano zawartość. Szukano pilnie broni, aresztowano i wywieziono w głąb Rosji szereg przedstawicieli inteligencji polskiej (np. znanego laryngologa dra. Czarnoskiego). A żołnierze sowieccy stale powtarzali, że idą na Niemców.

Nie wiem, czy taki projekt rzeczywiście istniał, niewątpliwie zajęcie państw bałtyckich polepszyłoby pozycję strategiczną Z.S.S.R. względem Niemiec. Ale na ten krok nie odważono się na razie, zaproponowano zaś Litwie utworzenie baz sowieckich wzamian za przyłączenie Wilna do Litwy. Przyłączenie tego polskiego miasta musiało doprowadzić do trudności wewnętrznych na Litwie, a co za tym idzie, do jej osłabienia. Sowiety odsunęły więc całkowite zajęcie Litwy na późniejszy okres. Na Litwie wierzono jeszcze, że Niemcy nie dopuszczą do inwazji rosyjskiej.

Nasuwa się obecnie pytanie, dla czego Z.S.S.R. wybrał właśnie dzień 15 czerwca na wkroczenie wojsk sowieckich na Litwę. Wydarzenie to było dla Litwinów gromem z jasnego nieba. Być może, że w tym dniu armia sowiecka miała być na tyle przygotowana, aby móc odebrać ochotę Niemcom do jeszcze jednej wojny. Rzeczywiście, wojska przelewały się bez końca przez miasto, przez wiele nocy szły czołgi, jeden za drugim, a przez całe dnie przelatywały niezliczone samoloty nad miastem. Cała ta ogromna masa parła ku zachodowi. Byliśmy pewni wybuchu wojny. Mostów pilnowały liczne posterunki, wszędzie ustawione były czołgi, samochody pancerne, armatki polowe, w lasach zaś obozowało wojsko. Nad granicą niemiecką okopywano się podobno. Wszystko to dowodziło, że zajmowano Litwę bez porozumienia z Niemcami.

Po pewnym czasie Niemcy albo uznały nowy stan rzeczy, albo też pogodziły się z nim, nie wyjawiając żadnej pretensji. To też posterunki zwinięto, czołgi i armatki znikły, a wojsko przeniosło się do miast, gdzie zajmowało dla siebie koszary i całe kwartały domów prywatnych. Należy przyznać, że Sowiety wybrały bardzo dobrze moment zaboru Litwy, bo Niemcy wtedy już były zajęte przygotowywaniem ataku na Anglię i godziły się na wszystko, co się działo na wschodzie.

Ale na tym nie koniec. Z.S.S.R. musi być teraz przygotowany na wszystko. Mogą przecież wytworzyć się warunki, w których maszyna wojenna niemiecka będzie się mogła obrócić na wschód. Przystąpiono w Z.S.S.R. do reorganizacji wojska, które w Finlandii nie zaimponowało światu. Zewnętrzne oznaki takiej reorganizacji były: pozbycie się przez armię funkcjonariuszy partyjnych t. z. politruków, wprowadzenie bardziej widocznych dystynkcji dla oficerów i wprowadzenie obyczaju salutowania. Przyznawano się odważnie, że chodzi o zwiększenie dyscypliny.

Następnym zadaniem było mocne usadowienie się w państwach bałtyckich. W myśl ideologii rosyjskiej, starano oprzeć się na ludziach, których należało przeciągnąć na swoją stronę. Na Litwie wzięto się ostrożnie do rzeczy, nie dając z początku Litwinom odczuć zmiany. Był rząd litewski wprawdzie komunistyczny, był prezydent litewski, a wojsko i policja chodziły w dawnych mundurach (ostatnio uległo to zmianie). Jednocześnie wzięto naród pod ogień propagandy rosyjskiej. Prezydenta Smetonę i jego stronników zohydzano, ile się dało, mężów stanu Rosji chwalono aż za wiele. Polskiej ludności przyznano swobodę języka narodowego i zwiększono ilość audycji radiowych w języku polskim. Z drugiej strony zredukowano trzy istniejące dzienniki polskie do jednego.

Tymczasem czynione były wysiłki, aby nie dopuścić do paniki i zwyżki cen na towary pierwszej potrzeby. Zaopatruje się nawet Wilno w pewne towary. Zato ponowiły się rewizje nocne po mieszkaniach i areszty, Poszukiwano teraz przede wszystkim oficerów zwolnionych z obozów internowanych na Litwie, jak również tych, którzy uciekli w swoim czasie na Litwę.

BOLSZEWICY Z BLIZKA

Wilnianin spotkał się wpierw z armią sowiecką i według niej oceniał całe państwo. Uderzał go mały wzrost żołnierza sowieckiego, mało podobnego pod tym względem do żołnierza rosyjskiego z 1914 roku. Żołnierz obecny czynił wrażenie człowieka, który wiele trudnych chwil przeżył. W poszczególnych oddziałach spotkać można było przedstawicieli różnych ras europejskich i azjatyckich. Umundurowani są nieszczególnie: wszystkie odcienie zielono-szarego koloru są na porządku dziennym. Wszyscy są natomiast obuci. Konie posiadają niezłe. Co do uzbrojenia, trudno mi coś powiedzieć; w każdym razie przywiązywanie złożonego bagnetu do karabinu sznurkami i wstążeczkami robi fatalne wrażenie.

Pod względem wychowania wojska osiągnięto w Z.S.S.R. pewne wyniki. Żołnierz jest grzeczny, często nieśmiały, oficer uprzejmy. Jeden i drugi nie klną, na ogół nie piją. Zupełnie coś innego widziałem później w Niemczech. Podczas rewizji żołnierze sowieccy nie kradli, w przeciwieństwie do miejscowej milicji ludowej złożonej z mętów. Żołnierze orientują się dobrze w składzie narodowościowym Wilna i Litwy. Z wielkim zainteresowaniem pytali się niektórzy o warunki bytu w Wilnie, zdradzając oczywiście swój specyficzny światopogląd. W okresie gdy rubel był ustawowo przyjętym a raczej narzuconym—środkiem płatniczym wojskowi robili w Wilnie duże zakupy, szczególnie bielizny, odzieży, obuwia.

Poza armią Wilnianin miał jeszcze drugą możliwość zapoznania się z rzeczywistością sowiecką. Byli nią wzięci do niewoli bolszewickiej żołnierze polscy, których, po wywiezieniu w głąb Rosji, mało pilnowano albo wprost puszczono na wolność. Zestawiając wszystkie wiadomości, doszedłem do wniosku, że gospodarka w Rosji sowieckiej jest bardzo nierównomierna. Są traktory, samochody, czołgi, samoloty, ale brakuje naczyń, rondli, butów, bielizny. Są kołchozy bogate, są inne, gdzie nie ma co jeść. Komunikacja i poczta są fatalne. Opowiadano mi o marnotrawstwach w kołchozach, gdzie napół wymłócone zboże szło na słomę. Brakuje nierogacizny, tłuszczów i masła.

Bolszewicy przekonani są głęboko, że niosą zachodowi cenny skarb ideologiczny. Niosą wyzwolenie, czują się krzewicielami nowej religii. Na fakty przeczące ich poglądom są ślepi i głusi. Nie "wybielają" swego wyjścia z chińskiego muru, którym odgrodzili się od Europy. Obecny Rosjanin jest w taki sam sposób "czerwony," w jakim był dawniej wiernym sługą cara. Kto staje się bolszewikiem, poddaje się wpływom Rosji, i to Rosji imperialistycznej. To też bolszewik wileński mówi albo po rosyjku albo z rosyjska. Sowiety będą prześladowały Polaków nie za "burżujstwo," lecz za ich wolę samodzielności. Dlatego aresztują przywódców socjalistów, salonowych komunistów i w ogóle ludzi lewicowych, ponieważ ci właśnie nie zechcą się poddać imperializmowi rosyjskiemu.

POLITYKA LITEWSKA NA ODCINKU WILEŃSKIM

Litewskie stronnictwo rządowe—Szaulisi—tak dalece zaangażowało się w sprawie wileńskiej i tak dalece opierało na kwestii wileńskiej swoją rację bytu, że propozycji sowieckiej zwrotu Wilna nie mogło nie przyjąć. Związana ona była wprawdzie z żądaniem umieszczenia baz sowieckich na Litwie, zdawało się jednak, że mimo wszystko można będzie znaleść wyjście z sytuacji.

Wraz z przyłączeniem Wileńszczyzny przybyło Litwie ok. 200.000 Litwinów, i ludność litewska na Litwie wzrosła do przeszło dwu milionów. Ale przybyła zarazem bardzo znaczna mniejszość polska, która, jak przypuszczam, wynosiła, razem z mniejszością na Litwie, około 1/4 ludności całego państwa.

Nie zrezygnowano z nierealnego pomysłu zrobienia z miasta o polskiej ludności, leżącego na krańcach państwa stolicy narodowej Litwy. Nie było wiadomo, jaki obrót weźmie wojna, a liczono się z tym, że może trwać krótko. Jeżeli się chciało zatrzymać Wilno, należało się bardzo śpieszyć ze zlitewszczeniem tego miasta. Przystąpiono też energicznie do tego zadania.

Na razie nadano Wilnu zewnętrzne pozory miasta litewskiego, zmieniając nazwy ulic i zezwalając na wywieszanie szyldów tylko w języku litewskim, z nazwiskami zmienionymi na modłę litewską. Przywożono co niedziela liczne wycieczki z głębi Litwy, sprowadzono urzędników. Rugowano Polaków z urzędów pod pozorem, że nie znają litewskiego lub nie posiadają litewskiego obywatelstwa. Uchwalono specjalną ustawę o obywatelstwie i stosowano ją w ten sposób, że część stałych mieszkańców Wilna uznano za obcokrajowców. Czasami robiono z nich też uchodźców. W urzędach nie rozumiano po polsku. Przysyłano, jak się zdaje, do Wilna najgorszych polakożerców.

Zachowano tylko pozory praworządności i liberalizmu. Zezwolono na wydawanie trzech dzienni-ków polskich i miano, jak się zdaje, nadzieję, że skłócą wewnętrznie społeczeństwo polskie. Prasa nacjonalistyczna litewska siała nienawiść do wszystkiego co polskie. Wciąż wypominano Polakom Żeligowskiego i ultimatum Becka, przemilczając natomiast Kłajpedę i bazy sowieckie.

Dzięki specjalnym ulgom w polityce finansowej, zachęcano Litwinów do lokowania swych kapitałów w Wilnie. Nie wypłacano żadnych emerytur, nie uznawano zobowiązań ubezpieczalni. Gdzie się dało, zatrudniano Litwinów. Rezultatem było ogólne bezrobocie wśród Polaków i widmo nędzy we wszystkich warstwach społeczeństwa. Do reorganizowanej instytucji Pomocy ofiarom wojny Polakom zapisało się w Wilnie blisko 100.000 osób. Dzięki pomocy amerykańskiego Czerwonego Krzyża, przekarmiono i odziano część tych osób.

Postanowiono, jak to już zrobiono uprzednio w Kownie, ograniczyć, jeżeli nie wyrugować nabożeństwa polskie. Gdy biskup Jabłrzykowski, opierał się w ogóle w prowadzeniu nabożeństw litewskich, akcję przeciw niemu przeniesiono na ulicę. Urządzano burdy w kościołach, a biskupa Jabłrzykowskiego ogłoszono za wroga Litwy Nr. 1. Dopiero gdy pobito przez pomyłkę nie bez udziału policji, sekretarza Nuncjusza w Kownie, gdy obrzucono kamieniami Bogu ducha winną publiczność w teatrze—władze litewskie, a przede wszyskim rozumniejsza część społeczeństwa litewskiego poczęły hamować szaulisów.

W ten sposób Litwa nie zdobyła sobie przyjaciół w Wilnie. A potrzebowała przyjaciół bardzo.

Gdy wojsko bolszewickie wkroczyło ponownie do Wilna nową zmianę przyjęto z lękiem. Nowi władcy starali się zdobyć sympatię i zaufanie ludności, upokarzając znienawidzoną policję litewską, która stała się łagodna i bezradna, aż żal było patrzeć.

"Litzmanstadt" czy Łódź?

Przegladając prasę polską we Francji, w Rumunii czy nawet tu w Anglii znajdowaliśmy i znajdujemy stosunkowo niewiele wiadomości dotyczących Łodzi, po wcieleniu do "Warthegau," przemianowanej przez Niemców, na Litzmanstadt.

Z okruchów wiadomości zebranych od ludzi, którzy widzieli Łódź w czasie kampanii wrześniowej i pod zaborem hitlerowskim, z listów, jak wreszcie z prasy niemieckiej da się odtworzyć historię Łodzi w ostatnim roku.

Tragedia Łodzi rozpoczęła się w dniu 5 września r.ub. kiedy to władze wojewódzkie wydały nakaz ewakuacji miasta. Już od wczesnych godzin rannych, pomimo pozornego spokoju dawał się odczuć na ulicach "bawełnianego grodu" nastrój niepokoju. Właściwie nastroju tego nie można było wytłumaczyć żadnymi konkretnymi informacjami i danymi. Do redakcji dzienników miejscowych docierały wprawdzie, nie przeznaczone do druku, informacje o załamaniu się frontu polskiego na ziemiach województwa, wprawdzie organizacje niemieckie w sposób co raz jaskrawszy i bardziej zdecydowany występowały przeciwko Polsce i Polakom, jednak wiadomości uważano za niepewne i przesadzone, do wystąpień niemczyzny łódzkiej ustosunkowano się jako do zjawiska normalnego w okresie wojny. Z frontu dochodziły jednak co raz bliższe "pomruki," bocznymi ulicami miasta przetaczały się cofające tabory wojskowe, zapełnione rannymi żołnierzami i zamaskowane zielenią autobusy. Ewakuacja 5 września r. ub. w nocy była dla wszystkich niemal niespodzianką. W dniu 6 września r.ub. Łodzianie z prawdziwym przerażeniem stwierdzili, że miasto jest już pozbawione polskich władz i urzędów, że miasto "tysiąca kominów" opuściła również i policja.

W okresie przejściowym Niemcy łódzcy usiłowali w sposób co raz bardziej zdecydowany dać poznać elementowi polskiemu, że władza nad miastem obecnie do nich należy. Poważniejsze jednak wystąpienia uniemożliwiały znajdujące się w mieście jednostki cofającej się armii polskiej.

I wreszcie ludność doczekała tragicznego momentu wkroczenia do miasta brutalnej sołdateski germańskiej. Na ulicach pojawiła się niemal równocześnie młodzież niemiecka, z przygotowanymi specjalnie na tę chwilę opaskami z wymalowanym "hakenkreutzem." Niedługa jednak była radość Niemców łódzkich, gdyż żołnierze po stosunkowo krótkim pobycie w Łodzi miasto opuścili, aby niedługo wkroczyć do niego ponownie.

Po ponownym wkroczeniu Niemców organizacje niemieckie w Łodzi otrzymały specjalne przywileje. Młódź niemiecką zaopatrzono w broń palną i przyznano jej specjalne prawa w utrzymywaniu porządku w mieście. Miasto znalazło się pod rządami wojskowymi. Niemieckie władze wojskowe ulokowały się w pomieszczeniach Grand Hotelu przy ul. Piotrkowskiej. Doszło do pierwszych wystąpień przeciwko ludności polskiej i żydowskiej.

W mieście tymczasem w sposób co raz bardziej bezwzględny szerzył się głód. Dowozy ze wsi niemal ustały. Przed piekarniami, sklepami spożywczymi tworzyły się długie "ogonki" ludzi oczekujących na kawałek chleba. Oczywiście porządek utrzymywali Niemcy. Dochodziło do tego rodzaju wykroczeń, że "porządkowy łotrzyk" wyrywał nieraz z rąk kobiet Polek i starców z trudem zdobyty kawałek chleba, aby go oddać Niemcowi. Oczywiście dość prędko wprowadzono poważne ograniczenia żywnościowe, faworyzujące Niemców łódzkich na niekorzyść ludności polskiej a jeszcze w znaczniejszym stopniu na niekorzyść ludności żydowskiej.

Usadowione już na dobre w Łodzi władze niemieckie rozpoczęły swe rządy od grabieży. Przede wszystkim dokonano konfiskat zapasów żywności w domach prywatnych, o ile przekroczyły one pewną, minimalną zresztą, normę, dalej węgla, biżuterii i pieniędzy (ludność żydowska). Następnie przyszła kolej na składy fabryk łódzkich zapchane cennym surowcem bawełnianym, sprowadzanym przed wojną w ogromnych ilościach do Łodzi poprostu na zapas. Z unieruchomionych fabryk łódzkich przemysłu tekstylnego zaczęto wywozić maszyny.

W nikłym stopniu pracowały nadal fabryki metalowe i fabryka przemysłu chemicznego "Boruta." Tysiącznym rzeszom robotniczym zajrzała w oczy nędza. Wówczas to (pod koniec października) uruchomiono biuro pośrednictwa pracy, które pomieszczone zostało w gmachu P.K.O. przy Al. Kościuszki. Biuro to zajmowało się rekrutacją robotników łódzkich na roboty do Niemiec.

Były to jednak, mimo wszystko jeszcze czasy sielankowe. Z chwilą gdy zarząd wojskowy miasta zastąpiono władzami cywilnymi i kiedy Niemcy uznali okręg łódzki za "rdzennie germański" fałszując w sposób nie znający przykładu historię, zaczęto co raz silniej uciskać mniejszość żydowską a w stosunku do Polaków zastosowano drakońskie metody zdążające do wynarodowienia.

W okręgu łódzkim i w Łodzi postanowiono osiedlić Niemców bałtyckich kosztem miejscowej ludności polskiej. Zaczęła się bezwzględna konfiskata zarówno polskich mieszkań, jak też polskich warsztatów pracy. Równocześnie z tym postępował proces ściągania od ludności zaległych wobec władz polskich należności skarbowych. Władze polskie opuszczając miasto nie popaliły ksiąg podatniczych i księgi te stały się podstawą nowych antypolskich wystąpień. Egzekucje odbywały się w sposób bezwzględny.

Ludność polska ewakuowana dosłownie z godziny na godzinę z mieszkań lokowana była, pomimo silnych mrozów, w barakach przy ul. Łąkowej. Brak żywności, wegla i drakońskie metody niemieckie wszystko to razem wpłynęło na ogromny wzrost śmiertelności, szczególnie wśród kobiet i dzieci. Niemcy bałtyccy wprowadzeni do Łodzi wchodzili z punktu w posiadanie majątków wywłaszczonych Polaków i Żydów. Utworzone w północnej części miasta ghetto żydowskie zostało niemal całkowicie odosobnione.

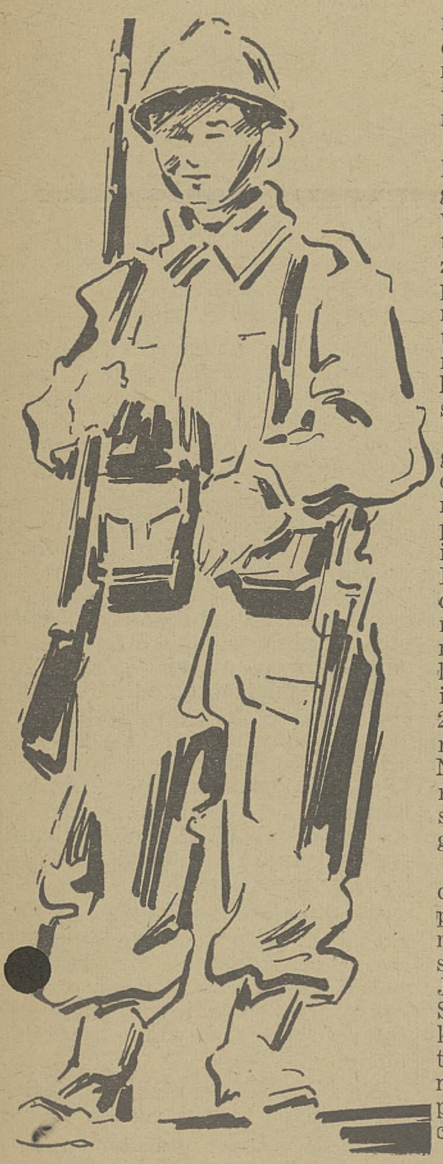
Proces germanizacyjny ośrodka łódzkiego objawił się nie tylko w wysiedlaniu ludności polskiej, terorze stosowanym wobec niej, lecz również w przemianowaniu nazwy miasta, nazw ulic itd. Główna ulica Łodzi Piotrkowska nazwana została Adolf Hitler Strasse. Niemcy łódzcy, którzy wstawiali się u władz niemieckich za ludnością polską, a była takich nieliczna garstka, narażali się sami na prześladowania a nawet na wyrok śmierci (np. Geyer i John) wykonany samowolnie przez zdziczałych drabów w mundurach hitlerowskich.

W ramach Reichu Łódź upadła do roli podrzędnego miasteczka prowincjonalnego, tendencyjnie germanizowanego i bezprzykładnie rabowanego przez Niemców. Usuwane są wszelkie ślady polskości "bawełnianego grodu." Mimo jednak wszelkich wysiłków niemieckich Łódź nie stała się Litzmanstadtem i nadal polska Łódź żyje w sercach wszystkich Polaków dręczonych tu i prześladowanych w sposób bezwzlędny, nawet sadystyczny. Robociarz łódzki już wielokrotnie dał wyrazy i dowody swego patriotyzmu i dziś nadal nadaje polskie oblicze i rdzennie polski charakter polskiej Łodzi. Charakter ten nadaje miastu również tutejsza, pozostała jeszcze inteligencja polska, narażona na specjalnie dotkliwe prześladowania.

Kazimierz Lipnicki

Z życia obozów

Straż nad morzem



Rysował Tadeusz Lipski

Dawno już było naszym najtajniejszym życzeniem wśród codziennych służb i obowiązków żołnierskich—dostać bardziej odpowiedzialne zajęcie. Zostało to tymi dniami urzeczywistnione.

Jesteśmy na tak zwanym odcinku morskim. Między nami a wrogiem, odwiecznym, nienawistnym wrogiem niemieckim jest jedna tylko przegroda: morze. Czyli—znajdujemy się w warunkach pierwszej linii, strzegącej wolności i bezpieczeństwa Wysp Brytyjskich, które dla nas są wyspami nadziei, wśród chmurnej, bolesnej, pełnej tęsknot dzisiejszości.

Pierwsze pójście na placówkę, gdzie wyczekuje wroga milczący czarny cekaem—było czymś w rodzaju nabożeństwa. Bierzemy przepisowy dobytek na siebie i idziemy na tę pierwszą placówkę. Deszczyk siąpi. Oddzwania okuciami podeszew i obcasów żołnierskie obuwie. Kołysze się w nas marsz, chociaż z asfaltu zeszliśmy na piasek brzegowy. Gdzież idziemy? Nie tylko na spełnienie 24-ro godzinnego obowiąku żołnierskiego. Idziemy do Polski. Na pierwszy odpowiedzialny posterunek po zreorganizowaniu polskich sił zbrojnych po zbyt przygnębiającej klęsce Francji.

Rozgościwszy się na przeznaczonej placówce, głęboko w dole, pod pułapem z betonu, wzmocnionym worami piasku—rozkładamy sobie wzajemnie godziny służby. Jak tylekroć, tak i tym razem. Służba płynie. Obowiązek jest wykonany. Idą godziny. A my twarz w twarz morzu bełkoczącemu, pieszczotliwie głaszcząc cichy, przygotowany do akcji, kochany cekaem.

Wiele razy człowiek widział morze. I nasze, Bałtyckie, szare w dnie chmurne, a błękitne w dnie pogodne, zaś zazwyczaj przemyślnie zielone — podpływające czy odpływające na nabrzeża Gdyni, ku Orłowu, Karwi, Rozewiu, Władysławowu, Helowi. Naszego morza nie porównać z jakimkolwiek innym. Morze oddychające tak swojsko, tak po przyjacielsku. Szeroko. Przestrzeniami wolności. Morze, którego podmuchom wtórowały pluski jezior Szwajcarii Kaszubskiej. Serenady dźwigów portowych młodej Gdyni. Śmiechy urody i powabu radosnego na ciepłym piasku Orłowa, na rozległej plaży Helu.

To morze tutejsze jest inne. Inne, niż lazurowy Adriatyk, w którym dumnie ogląda swą renesansową wspaniałość—Wenecja. Inne, niż morze Czarne, wspaniale wchłaniające wężową deltę Dunaju. Morze, które jest przez nas strzeżone, jest inne. Burzliwe i piskliwie, skwirzasto szumiące nawet w dzień pogodny. O wietrze, stale dującym. Liżące białym pian językiem skaliste, strome brzegi. Morze korsarskich wypraw.

Czuwasz przy karabinie maszynowym i patrzysz na to morze, które dzieli Ciebie od wroga. Tam, na południowy wschód—miasto Twoje rodzinne. Matka, żona, narzeczona, bracia, znajomi, przyjaciele. Groby Twoich praojców. Świeże mogiły tych, którzy polegli w najświętszej sprawie, w obronie ojczystego kraju przed najazdem.

Ilu nas jest przy karabinie maszynowym, każdy baczny, czuwający, wpatrzony, zasłuchany. Każdy z głębokim wzruszeniem przeżywa pierwszą swoją straż nad morzem. Czuje się, jak daleko wysunięty przyczółek ciosu wojennego, który—gdy nastanie odpowiednia chwila—padnie straszliwym wyrokiem w samo serce wroga.

Ani się człowiek spodział, jak przebiegła noc. Pokaźną ilość czasu, przepełnionego na nadmorskiej placówce, człowiek już zdążył odnaleźć.

Naraz od wyjścia, z najmniej spodziewanego kierunku, słychać jakieś głosy. Nawet znajome. Do licha, któż to się kręci tu— ciekawy? Dyżurujący rzucił wzrokiem we właściwym kierunku. Naraz usłyszeliśmy głośne:

Aha!—

Co to znaczy, pojęliśmy wkrótce, gdy w naszej betonowej "poczekalni" na następną kolejkę pojawia się znana nam dobrze marsowa postać Generała Brygady w towarzystwie naszego "Wołodyjowskiego." Dalej nie widać, lecz słychać bas kapitana, udzielającego jako dowódca kompanji, niezbędnych wyjaśnień.

Wstajemy. Generał rzuca bystry wzrok, lustruje wszystkie kąty jednym pochwyceniem oczu, wnikliwie a zarazem tak przyjaźnie. Słyszymy jego śpiewny akcent, gdy zwraca się z pytaniem wprost do nas:

—Czołem chłopcy. Nie jest tu u was za ciasno?

Nim zdołaliśmy gęby pootwierać, już się pyta o co innego, ale odpowiedzi—po porządku czeka.

"Wicek," który na wszystko patrzy młodym wzrokiem dziewiętnastoletniego chłopaka, o dużym na emigracji doświadczeniu życiowym, uradowany, z tego, że rano znalazł zapodzianą maskę gazową, klepie mnie w ramię—swoim zwyczajem, sycząc wcale głośno—też swoim zwyczajem:

—Co on pedział?—

Nie połapałem się o co chodzi. Ja się skolei pytam:

—Który?

A Wicek do mnie:

—Jak to wtóry, ony. Gienerał, słowo honoru. . . .

Już chciałem wyjaśnić, gdy "Zaporowiec," obecny przy epizodzie, począł się śmiać:

—Ej, Wicek, ty go zbyt natarczywie nie wypytuj, bo znów żywcem wleziesz do "Polski Walczącej."

Zmonitowany na to z przekonaniem:

—Kamy do "Polski Walczącej" . . . Dejcie spokój. Już my z Wawrzynem—dwa kolegi, i zawszeć służbę robiemy razem, bo nie . . . nie wiecie jak jest. . . .

Nie zawiązała się dłuższa rozmowa jedynie dlatego, że "Zaporowiec," "Podleselski," "Migot," "Królijaczejko" i "Doktór François," którzy przyszli do nas "w goście" do pomocy przy dalszym usprawnianiu stanowiska, odmaszerowali z kompanią do rejonu zakwaterowania.

Szybko mijają godziny. Wkładamy serce w nasze pole widzenia —gotowi. A wroga, jak nie ma, tak nie ma. Jeśli nie on, to my do niego pójdziemy!

Morze tymczasem bez ustanku wyrzuca na brzeg swoje pieniste hymny na cześć walki i przestrzeni. Tylko od czasu do czasu doleci gdzie z wysoka łomot samolotu. Zaraz szukają go smugi reflektorowe. Zaraz wylatują Spitfire'y. Kończy się to albo odpędzeniem złodzieja przestrzennych bezdroży, lub jego—upiora niewoli i zła—opadaniem w morze, jak płonąca rakieta, dobrze swoim upadkiem wróżąca sprawie, przy której jest słuszność. Naszej sprawie.

Wawrzyniec Czereśniewski

Odwiedziny dziennikarzy angielskich i amerykańskich

W pierwszej połowie listopada odwiedzili obozy polskie dziennikarze-korespondenci wojenni angielscy i amerykańscy. Byli najpierw gośćmi jednej z Brygad Kadrowych. Dowódca Brygady witając ich, podkreślił radość własną i wszystkich podkomendnych, iż powierzony im został do obrony ważny odcinek wybrzeża brytyjskiego.—Odpowiedział mu redaktor Forrest, przewodniczący grupy korespondentów wojennych, który stwierdził, że góry otaczające część Szkocji, gdzie są rozlokowane Wojska Polskie nigdy przez żadnego wroga nie zostały przekroczone — nawet przez Rzymian. Z tego miejsca Szkocji po miesiącach defensywy i dozbrojenia pójdzie naprzód zwycięska ofensywa.

Serdecznie i gościnnie podejmowano gości, którzy w tych pierwszych chwilach spotkania z naszym wojskiem w Szkocji radzi byli usłyszeć nie tylko niedawne przeżycia wojenne, ale dowiedzieć się szczegółów z obecnego pobytu w Wielkiej Brytanii. Przyjęcie było urozmaicone przedstawieniem "Czołówki teatralnej" ("Lwowskiej Fali"). Gorąco i serdecznie oklaskiwali dziennikarze poszczególne punkty programu. Już dawno minęła godzina odjazdu przewidziana w programie, gdy goście jeszcze zasypywali pytaniami poszczególnych członków czołówki o ich poprzednie zajęcia "w cywilu," o to, jakimi drogami dostali się z dalekiego Lwowa aż do północnej Szkocji i t.d. Przyjazd na kwatery do jednego z uroczych miasteczek szkockich nastąpił dopiero około godziny 11-ej wieczorem.

Nazajutrz rano—był to dzień rocznicy niepodległości—nastąpił przyjazd do m.p. dowództwa korpusu. Tam wszyscy korespondenci wojenni zostali przedstawieni Panu Generałowi, dowodzącemu Korpusem. W serdecznych słowach witał on przybyłych gości, zaznaczając, że każdy żołnierz polski stojący u straży wybrzeża brytyjskiego rad byłby nawet, by Niemcy spróbowali inwazji, gdyż mogłoby to stać się sygnałem do ofensywy, a dla żołnierzy polskich do zwycięskiego powrotu do kraju.

O godzinie 9.15 rozpoczęła się polowa Msza święta, odprawiona przez Księdza Dziekana pod dużym namiotem. Naokoło namiotu stoją prastare drzewa wieńcem, a wśród nich nasze polskie jodły z Karpat. Późnojesienne słońce nad drzewami i nad nami. Podczas Mszy Świętej Chór w.p. pod batutą por. Kołaczkowskiego odśpiewał m.i. pieśni "Bogu Rodzica," "Gaude Mater." Po mszy przemówił od ołtarza krótko, po żołniersku, ale w jakże głębokich słowach duszpasterz co mundur pułkownika W.P. nosi.

"Nie dla jęków i lamentów, lecz dla pracy żołnierskiej tu przyjechaliśmy—dla pracy dla Niepodległej. Krew nasza przelana i krew wroga przelana, zwycięsko do kraju powrócić nam pozwoli. Drugie już święto Niepodległości obchodzimy zagranicą, z daleka od naszego kraju. W zeszłym roku, krótko po katastrofie obchodziliśmy Święto Niepodległości w Rumunii z sercami pełnymi goryczy i zwątpienia. O ileż w tym roku mocniejsi na duchu być możemy, gdy mając armię własną pracujemy dla Ojczyzny."

Po Mszy Chór w m.p. Dowództwa Korpusu odśpiewał szereg pieśni. "Za naszą wolność i Waszą"—brzmiał potężnie refren jednej z nich—stare hasło, stara dewiza Polaków walczących o wolność znów rozbrzmiewa i głębokie wrażenie wywiera na gościach przybyłych. "To nie tylko sentyment, to głęboka prawda"—mówi jeden z dziennikarzy. A potem wiązanka naszych najpiękniejszych pieśni żołnierskich wywołuje burzę oklasków wśród korespondentów wojennych, z których niejeden widział pola walki w różnych krajach i niejedną już pieśń wojenną słyszał.

Trzeba czas stracony nadrobić, więc szybko mkną teraz samochody w przepiękny jesienny dzień do m.p. innej Brygady dowodzonej przez generała, co trzy Krzyże Virtuti w bojach zdobył. Zaczyna się defilada. Szerokim gestem Generał zaprasza przybyłych gości, by blisko niego stanęli i wszystko dokładnie mogli zobaczyć. Gra orkiestra Brygady. Przesuwają się tanki, motocykle i oddziały zmotoryzowane. A potem słyszymy dźwięki "Warszawianki" i w świetnej postawie i ordynku—oddział za oddziałem—przechodzi piechota. Śmieją się twarze żołnierzy do swego dowódcy. Defilada skończona. Z zaciekawieniem, z entuzjazmem, gorąco omawiają korespondenci zagraniczni defiladę, postawę wojska, uzbrojenie.

W drodze powrotnej do m.p. Generała Dowódcy Brygady dziennikarze mają sposobność rozmawiać z niejednym naszym żołnierzem, co albo po francusku dobrze włada, albo też już i po angielsku nieźle rozmówić się może. Ileż to przeżyć wojennych opowiedziano!

O godzinie 12.30 rozpoczął się skromny, żołnierski obiad, na który Generał zaprosił swych gości. Przy końcu obiadu powstał gospodarz i przemówił: "Im bardziej poznaję system obrony Wielkiej Brytanii, tym pewniejszy jestem zwycięstwa. Tak jak R.A.F., marynarka królewska i armia lądowa, tak i wy Panowie dziennikarze w mundurach—najlepsi nasi koledzy—walczycie o zgniecenie barbarzyństwa niemieckiego. Od głosu prasy zależy morale całego Narodu. Obok broni i oręża, morale będzie tym, co wroga zwycięży. W harmonii zupełnej stoją obok siebie armia brytyjska i polska." Kończąc Generał wypił zdrowie dziennikarzy i radość swą z ich przyjazdu podkreślił raz jeszcze. Rozległy się huczne oklaski.



Fragment przeglądu

W odpowiedzi zabrał głos p. Forrest, przemawiając i z humorem i z serdecznym sentymentem: "Przez wieki całe—mówił p. Forrest—Szkoci skutecznie opierali się inwazji angielskiej. Przyszli Polacy i w mig Szkotów podbili i zdobyli. "Za naszą wolność i Waszą"—śpiewał tak pięknie dziś rano Wasz chór—dewiza ta, powstała 150 lat temu, wciąż jest aktualna i winna być wypisana i na brytyjskich i szkockich sztandarach." Zwracając się zaś do Generała Dowódcy Brygady p. Forrest oświadczył, że "mając takich jak on dowódców —armia polska w przyszłych bojach nowe sławne stronice dopisze do swej historii wojennej. Te walki nas czekają, a najszczęśliwszym dniem mego życia będzie, gdy wraz z zwycięską armią polską będę wkraczał do Warszawy i znów wejdę przez Nowy Świat do tego miasta."

Na zakończenie Generał Dowódca wzniósł okrzyk na cześć Wielkiej Brytanii i jej Monarchy. Orkiestra wojskowa, która podczas całego obiadu grała naprzemian polskie i szkockie melodie—odegrała narodowy hymn brytyjski.

Po obiedzie nastąpił odjazd na wybrzeże morskie, na odcinek obsadzony przez oddziały polskie.

W drodze powrotnej korespondenci zagraniczni zatrzymali się jeszcze na chwilę w kantynie podhalańskiej. Widzieli tam sztandar z pod Narwiku dwa miesiące temu przez Naczelnego Wodza udekorowany Krzyżem Virtuti Militari. Rozmawiali też z niejednym z żołnierzy polskich, co pod Narwikiem, pod Ankenes walczył.

Przyszła chwila pożegnania. Pan Generał, Dowodzący Korpusem przemówił po angielsku do odjeżdżających gości, wyraził przekonanie, że mimo tak krótkiego pobytu korespondenci zagraniczni niewątpliwie mogli się przekonać, że żołnierz polski jest szczęśliwy, może pełnić straż na odcinku wybrzeża brytyjskiego, a jego wola walki, którą jest gorąco ożywiony dojdzie do pełnego głosu, gdy znów będzie miał okazję zwrzeć się z wrogiem.

N.N.

Przegląd polityczny



Narada w Innsbrucku, układy w Wiedniu, potajemna podróż króla Borysa do Hitlera—wszystko to jest inscenizacją wielkiego dramatu, który lada chwila rozpocznie się na Bałkanach. Jesteśmy w przededniu wielkiego ataku państw osi na Turcję, poprzez Bułgarię, a prawdopodobnie również przez Jugosławię.

Wizyta Mołotowa w Berlinie zapewniła brak reakcji rosyjskiej. Sowiety nie będą przeszkadzały jakimkolwiek planom niemieckim. Od strony rosyjskiego wschodu—Niemcy mają w tej chwili rozwiązane ręce.

Wykorzystując ten fakt, skrępowano i to najzupełniej niezależność Węgier. W Wiedniu, gdzie wezwany przez Ribbentroppa, hr. Csaky zgłosił przystąpienie do aktu berlińskiego, t.j. do układu między Niemcami, Włochami i Japonią. Podobno miską soczewicy za rezygnację ze swej politycznej niepodległości ma być dla Węgier jugosłowiański Barał, a może nawet Kroacja. "Jeszcze raz," pisze prasa budapeszteńska—"wysuwa się w Europie środkowej na pierwszy plan—rapsodia węgierska." Możliwe, ale nie jest również wykluczone, że ta rapsodia może skończyć się dla Węgier marszem pogrzebowym, jeszcze bardziej ponurym, aniżeli w r. 1918.

Turcję od dwóch dni obowiązuje "black-out"—zaciemnianie świateł wieczorem. Na Ankarę idzie ogromny nacisk polityczny, w którym kto wie czy pod presją Niemiec nie bierze udziału i Rosja. Hitlerowi chodzi o dostanie się do naftonośnych terenów Iraku—bez wojny. Ale są wszelkie dane, że Turcja będzie się broniła. Dlatego król Borys ma przepuścić przez Bułgarię wojska niemieckie.

I tu nasuwa się pytanie, *którędy Hitler pójdzie na Bliski Wschód*? Czy przez Rumunię, czy przez Jugosławię? Rumunia jest całkowicie w rękach niemieckich. Ale możliwe, że Führer *zadecydował również rozbiór Jugosławii.* W razie ataku niemiecko-włoskiego sytuacja Belgradu będzie bardzo ciężka. Ale nie jest wykluczone, że dzielny naród słowiański pójdzie za przykładem Grecji—i armia jugosłowiańska, nawet po wycofaniu się z kraju, odegra poważną rolę w obronie Bliskiego Wschodu.

Zaznaczmy jednak, że pod tym względem zdania są podzielone. Fatalna polityka Stojadinowicza, oraz bardzo intensywna działalność niemieckiej piątej kolumny zrobiły swoje. Kraj jest do wojny nieprzygotowany i mimo pozorów jedności—rozdarty i podminowany politycznie. *I dlatego do ostatniej chwili trudno przewidzieć, jak będzie wyglądała decyzja rządu w Belgradzie.* Clemenceau, gdy w roku 1918 na wiosnę, sytuacja wojenna była wyjątkowo ciężka oświadczył:

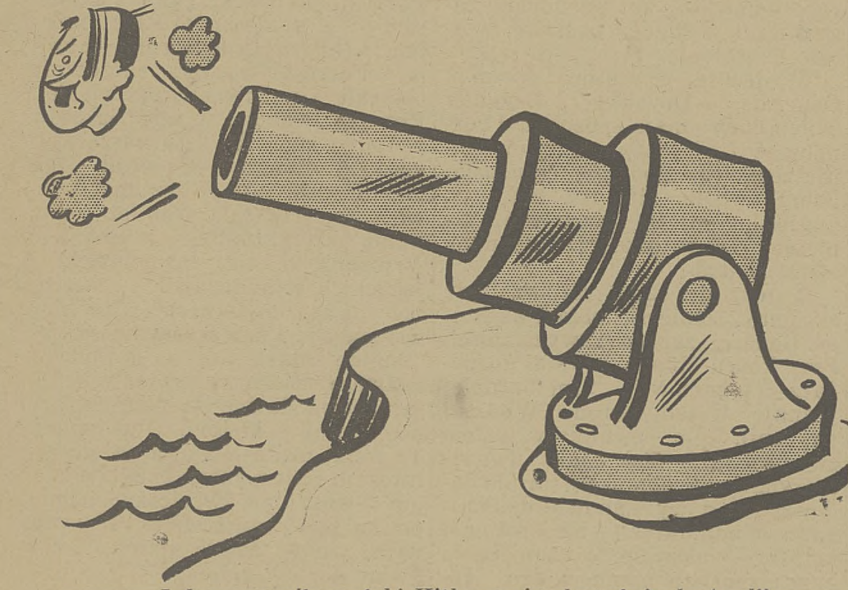
—"*Jeżeli Niemcy wejdą do Paryża—będę się bił w Paryżu. Gdy dojdą do Loary—będę walczył nad Loarą. A potym w Pirenejach. W końcu bede prowadzil wojne w Imperium. Ale będę walczył.*"

Tak mówił wielki mąż stanu, ale o takie charaktery co raz tu trudniej jest dzisiaj w Europie, zwłaszcza w Europie Środkowej.

Na wysokości tych słów, na wysokości wielkich swoich tradycji okazali się Grecy. Wypchnęli wroga nie tylko z granic swego kraju, ale ścigają go w Albanii. Po zajęciu jednej ważnej bazy w Koricy zagrażają drugiej w Argyrocastro. Ale ostateczny wynik tej wojny ukształtuje się w związku z niedalekimi wydarzeniami na Bałkanach.

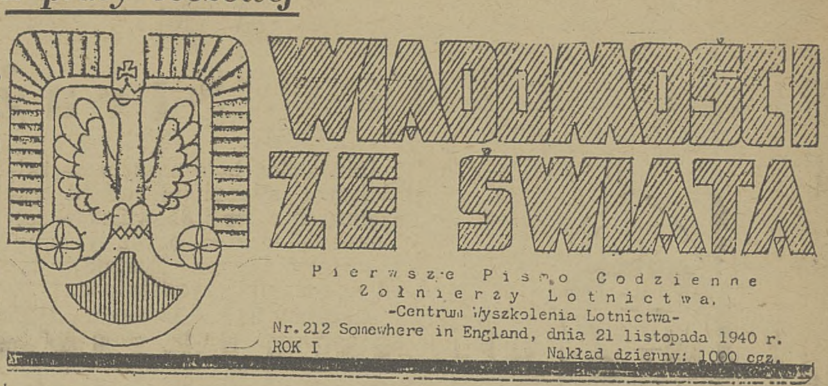
Na Dalekim Wschodzie raz mówi się o możliwości pokoju chińsko-japońskiego, drugi raz o podziale wpływów w Chinach między Japonię i Rosję. Ale ogólny kierunek rządowej prasy japońskiej pozostaje jednolity. Ostrze pogróżki zwraca się przeciwko Anglii i Stanom Zjednoczonym. Stany odpowiadają co raz to nowymi miliardami dolarów rzucanych w zbrojenia—i cała sytuacja światowa jest podobna do atmosfery, przeładowanej w najwyższym stopniu elektrycznością.

tk



Jedyny sposób, w jaki Hitler może dostać się do Anglii

Z prasy obozowej



"Polska Walcząca" oddawna zamierzała wejść w ściślejszy związek z bratnimi organami wojskowymi, ukazującemi się w skupiskach żołnierskich w Anglii, Szkocji i dalekiej Palestynie. Dzisiejszy przegląd stanowi początek tego kontaktu, który pragniemy rozszerzyć na wszystkie pisma, jakie dotrą do naszych rąk. Poświęcamy go najstarszemu polskiemu pismu codziennemu w Anglii, które piątego listopada obchodziło jubileusz 200 numeru. Pismem tym są doskonale redagowane i starannie powielane w ilości 1000 egzemplarzy "*WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA*"—pismo codzienne żołnierzy Lotnictwa.

Dziennik wychodzi "*Somewhere in England*" w formacie wielkiej ósemki i w objetości od czterech do ośmiu stron druku. Redakcję stanowią: szer. Juliusz Lech, szer. Władysław Junosza, szer. Mieczysław Pawski, szer. Janusz Prus, podchr. Władysław Włapo i szer. J.K. Opracowanie graficzne znajduje się w rękach asp. Facza i podchr. Korzenia. Administrator, drukarz i ekspedycja ukrywają się pod skrótami literowymi.

Pismo ma szereg działów. Obok artykułu wstępnego, artykułów w tekście oraz codziennych "ostatnich wiadomości," naprawdę bardzo aktualnych, zamieszcza stale: *w poniedziałki*—dodatek sportowy, dział "kultura i oświata," *we wtorki*—wiadomości o Anglii i recenzje, w *środy*—wywiady lotnicze i "gadki góralskie," *w czwartek*—dział "Walery Wątróbka" *w piątki*—"Coś a propos," wywiady i rubryka Czerwonego Krzyża i wreszcie *w soboty*—artykuły "bez tytułu" i obszerny dział literacki.

Artykuł wstępny, rzadko przekraczający 500 słów, zadziwia prostotą ujęć przy dużej wnikliwości i rozległej skali tematów. Styl przeważnie doskonały.

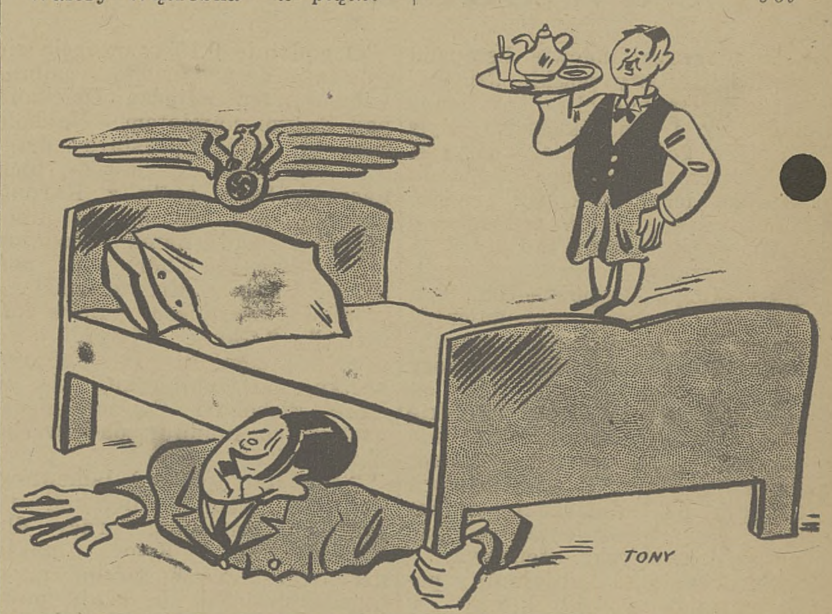
Artykuły inne nieraz bardzo ciekawe. Szczególnie b. ciekawe, żywe i bezpośrednie—wspomnienia z bojów we Francji. Bardzo dobre artykuły informacyjne z dziedziny lotnictwa, jak opis poszczególnych typów samolotów bojowych—jakże ciekawe i pożyteczne dla "przyziemnych"—"kolegów, takich jak ja, skromny saper. Doskonałe felietony redaktora Juliusza Lecha / "Po stycznej Orient Ekspresu" — "Walery Wątróbka"/, jak i W. Kisielewskiego /"Bez tytułu"/. Bardzo dobre "Gadki góralskie."

Wiadomości "nieprzyzwoicie" aktualne. Londyn może stanowczo pozazdrościć, zwłasz[cza] polski Londyn. Jak to się ro[bi], czy przez radio? Przytem interesująco zestawione i wcale obfite.

Na zakończenie, niekiedy niezły żart i udana karykatura.

Całość, bez przesady, doskonała i napewno z takim samym zaiteresowaniem czytana przez prenumeratorów, z jakim ja przeczytałem jednego dnia dwadzieścia kilka numerów.

Jot



Lokaj: Panie Kanclerzu, nalot skończony. Czy moge podać wczorajszy obiad, kolację i dzisiejsze śniadanie?

Sztychem

ŁUPU-CUPU

Łupu-cupu po kożuchu!—
stare to śpiewadło.
Grek ma widać trochę słuchu,
bo mu w ucho wpadło.
O, Santa Lucia!
Mocno takt wybija,
w skórę tłucze—winien Duce,
O, Italia mia!

WĘGIER POLAK— DWA BRATANKI

"Węgier, Polak—dwa bratanki"—
tak śpiewały krakowianki.
Dziś w Krakowie siedzi Niemiec,
a Węgier mu splata wieniec.

Ano, niech że mu tak będzie. . .
Lecz gdy siędziem na swej grzędzie,
będziem szukać na bratanka
już nie Węgra, ba!—Słowianka.

Antyk

Konkurs na sztukę o Warszawie

Zarząd Polskiego Klubu Literackiego P.E.N. ogłasza konkurs na sztuke teatralną, w dowolnej ilości aktów, której tematem byłaby

OBRONA WARSZAWY

Za najlepszą sztukę P.E.N. Klub wyznacza nagrodę pieniężną w wysokości £ 50.

Warunki konkursu:

1. Konkurs otwarty jest dla wszystkich.
2. Termin nadsyłania sztuk: I-ego marca 1941.
3. Rękopisy, o ile możności pisane na maszynie, należy nadsyłać pod adresem: P.E.N. Klub Polski, 55 Princess Gate, Londyn, S.W.7. Do rękopisów, zaopatrzonych godłem, należy załączyć kopertę zamkniętą zaopatrzoną tym samym godłem i zawierającą imię, nazwisko oraz dokładny adres autora.
4. Prawa autorskie sztuki nagrodzonej pozostają wyłączną własnością autora.
5. Jury konkursu składać się będzie z pięciu członków, z których trzech wybierze P.E.N. Klub i po jednym Min. Spraw Wojskowych i Min. Informacji i Dokumentacji.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel.,HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel. HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel. MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.